

22 STYCZNIA 1863

Praca Józefa Piłsudskiego p. t. «22 stycznia 1863» wydana została jako tom I wydawnictwa «Boje Polskie», rozpoczętego w początkach r. 1914 przez księgarnię nakładową Karola Rzepeckiego w Poznaniu. Wydawnictwo to p. t. «Boje Polskie — ilustrowane epizody, obrazy, portrety historyczne z dziejów naszych wojen narodowych pod redakcją dra Mariana Kukiela» miało na celu zaznajomienie społeczeństwa z historią wojskowości polskiej, do czego Piłsudski przykładał dużą wagę. Z tych też powodów, mimo przeciążenia pracą organizacyjno-wojskową i polityczną podjął się napisania I tomu do powyższego wydawnictwa, w oryginalny sposób łącząc historyczną fakturę zdarzeń nocy 22 stycznia z literackim opisem. W liście do Aleksandry Szczerbińskiej z dnia 18. IX. 1913 r. pisze o tym w słowach następujących: «Nie mogę się zdobyć na plan, jak samą noc 22 stycznia opisywać, od czego zacząć, jak temat brać? Czy poszczególne sceny obrazować, czy dawać cyfry i dane z krytyką, a dopóki na planie i metodzie pisania nie zatrzymałem się — dopóty i pisać trudno...»

Książkę Piłsudskiego zilustrowali 12 rysunkami w tekście Henryk Minkiewicz i Edward Rydz.

Dnia 17 stycznia w polskiej kwaterze głównej dawano ostatnie, nieodwołalne rozkazy do boju. Rozkazy aż na 22 stycznia. Nieodwołalny rozkaz na całych pięć dni przed bojem! Już w tym jednym odczuć się daje ogromna osobliwość warunków wojny i boju. Stokilkadziesiąt godzin ma dzielić rozkaz od wykonania i to w położeniu, w którym każda z tych setek godzin przynieść może zmiany zasadnicze, zmiany, uniemożliwiające wypełnienie rozkazu. Bo też osobliwą była ta główna kwatera!

Nic w niej nie przypominało zwykłego obrazu wojennego miejsc, gdzie się ważą i rozstrzygają w ostatniej instancji losy bitew i wojen. Ani błyszczących mundurów, ani dźwięku ostróg, ani tętentu koni adiutantów, pędzących z rozkazami lub raportami, żadnej wreszcie osłony siłą zbrojną, żadnej, najkonieczniejszej bodaj, warty, strzegącej spokoju wodzów. Kwatera wyglądała, jak najzwyczajniejsze mieszkanie prywatne najbardziej cywilnych ludzi. Jeżeli co różniło ją od

mieszkania jakiegoś urzędnika lub kupca, to chyba nieokreślony niepokój, który wiał z twarzy i ruchów obecnych, to zarazem nieco przyciszony sposób obcowania — szepty zamiast głośnych rozmów, wsłuchiwanie się w odgłosy ulicy, jakby ciche, lecz niespokojne zmaganie się z otaczającym niebezpieczeństwem. Od czasu do czasu z kwatery wymykali się adiutanci-kurierzy. Najczęściej były to — całkiem niewojenny obraz — kobiety, unoszące nieraz w najtajniejszych skrytkach damskiej garderoby rozkazy, pisane na cienkim świstku papieru. Od czasu do czasu błysnął mundur wojskowy, lecz — o, dziwo! — mundur wrogiego wojska; byli to oficerowie rosyjscy, należący do spisku.

Dziwna wojna, dziwna kwatera główna, której najważniejszym zadaniem zdawało się być utrzymanie tajemnicy i ukrywanie się przed okiem otoczenia. Nie było tam nic z tej buty i pewności siebie, jaką daje oparcie się o gotową i posłuszną na każde skinienie siłę zbroijną, zdolną do nagięcia otoczenia odpowiednio do planów i myśli wodza. Owszem, widoczną była chęć przystosowania się do otoczenia i rozplynięcia się w nim.

Bo też główna kwatera polska pracowała w sferze działania wroga. Ba, nawet oddalona była od głównej kwatery jego zaledwie o kilkaset kroków — o zwykły strzał karabinowy. Gdy jedna w każdej chwili mogła mieć na usługi tysiące tych karabinów, druga działać była w stanie tylko nie będąc dostrzeżoną, a nie mając nic dla swej osłony, w każdej chwili stawiała na kartę samo swe istnienie. Nic więc dziwnego, że twarze sztabu były niespokojne. Wódz ówczesnej Polski — Zygmunt Padlewski — nerwowo chodził po pokoju. Wahał się: jechać do puszczy kampinowskiej, czy też zostać w Warszawie? Po raz dziesiąty wracał do obliczeń, spisanych na skrawku papieru.





— Do Lewandowskiego na Podlasie rozkaz wysłany. Rozkaz trzymania się na szosie brzeskiej, przerwanie komunikacji z głębią Rosji, z Moskwą. — Czy rozkaz doszedł? Kto zaręczy? — przemknęło mu przez głowę.

— Ma w rozporządzeniu swym 3—4 tysiące ludzi. Jakie tam rozporządzenie? — Znowu wyrastała w głowie wątpliwość. Ludzie w chatach, po dworach, rozsypani, czy staną na wezwanie, by kłaść, ot tak, zdrową głowę pod ewangelię? Kto ich zmusi? A gdy musu nie ma, to ilu z tych niby liczonych da się policzyć już na placu boju?

— A wreszcie, co najgorsza, z czym ludzie pójdą do walki? Śmieszne! Z kijami, kosami, w dobrym wypadku

KRÓLESTWO POLSKIE

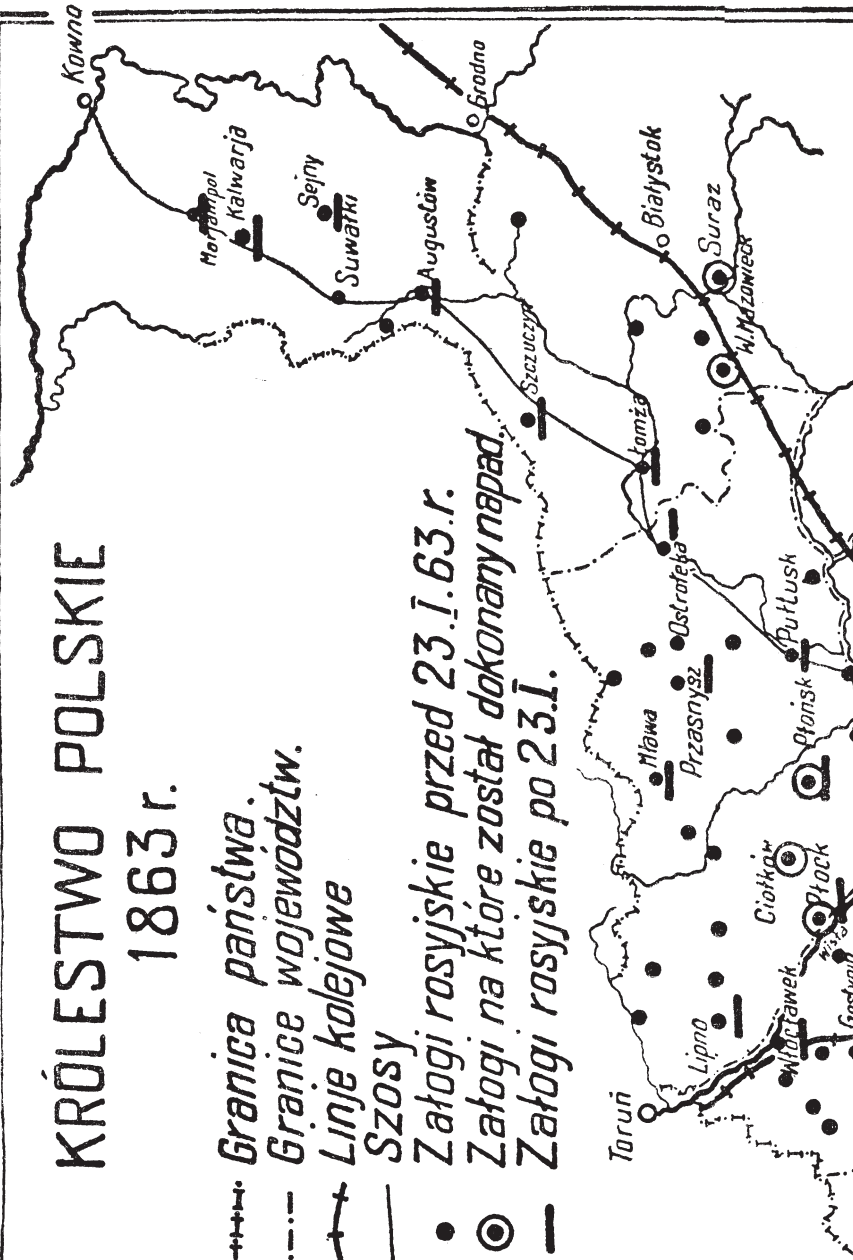
1863 r.

-  Granica państwa.
-  Granice województw.
-  Linie kolejowe
-  Szosy

• Załogi rosyjskie przed 23. I. 63. r.

⊙ Załogi na które został dokonany napad.

— Załogi rosyjskie po 23. I.



z marną dubeltówką na karabiny i armaty! W ostatnim raporcie Lewandowski wymieniał nawet liczbę tej najlepszej broni — strzelb myśliwskich. Całych 300! To w najlepiej uzbrojonym województwie! A tych karabinów rosyjskich, nie licząc jazdy i artylerii, w województwie jest nie mniej, niż 5 tysięcy. Zresztą nawet ta marna broń, czy jest pewna? Może już dzisiaj, albo w jednej z tych setek godzin, dzielących nas od boju, wróg położy swą rękę na wszystko, albo na dużą jej część, zostawiwszy do boju dziesiątki, zamiast setek sztuk broni palnej? Może przez ten czas wyaresztują wybitniejszych spiskowych i reszta, zostawszy bez głowy, wcale do apelu nie stanie?

— Wszystko w tym przedsięwzięciu takie niepewne, takie chwiejne!... — mruknął z rozpaczą. Takie niepodobne do tego, czegom sam uczył innych! Czy to nawet wojna? Rzeź niewiniątek, klęska pewna!

Myślał przebiegał wszystkie województwa, cały kraj. Langiewicz w Sandomierskim, Kurowski w Krakowskim, Bończa w Płockim. Te same niepewne tysiące spiskowych, te same wątpliwości, gorsze, bo broni mniej jeszcze, niż na Podlasiu! Zaledwie 300 sztuk broni palnej w całym kraju, tyle, co w jednym województwie podlaskim. A cały zachód, nieorganizowany wcale wojennie, pewnie się nie ruszy bez wodzów i naczelników; to samo w Lubelskim.

— Czemuśmy o tym wcześniej nie pomyśleli? — myślał z goryczą. — Odkładaliśmy zawsze na potem przygotowania ściśle wojenne, baliśmy się, że dolejemy tym oliwy do ognia, gorejącego już w duszach ludzkich.

— A teraz...

Znowu czarna rozpacz osiadła mu w duszy; dręczyły go wyrzuty sumienia; przecież sam dawał rozkazy do powstania, przecież sam wysyłał na śmierć te setki i tysiące ludzi. A za tydzień, po niechybnie nieudanej operacji, jakimiż oczyma będzie spotykał pytania i wyrzuty? Jakie da rozkazy, jakie polecenia 23 czy 24 stycznia, gdy do Warszawy zbiegną się zwiaścunicy klęski? Nie, lepiej śmierć, śmierć razem z nimi! Raczej śmierć, niż ta odpowiedzialność i stąpanie po chwiejnym, niepewnym gruncie!

Przez chwilę przemknęło mu przez myśl, że jednak ktoś na miejscu zostać musi; że na kogoś przecież spadną wszystkie pytania i wątpliwości dni, następujących po bitwie, dni ciężkich i trudnych, a tym trudniejszych, im bitwa będzie mniej szczęśliwą. Lecz górę brała rozpacz, zwyciężało zniechęcenie.

— Więc jechać! — pomyślał z westchnieniem ulgi.

Koledzy z Komitetu Centralnego proponowali mu, aby objął dowództwo nad zebranymi już w lasach okolicznych spiskowymi, którzy, uniknąwszy branki, koczowali teraz w puszczy kampsinowskiej na lewym brzegu Wisły i w serockiej na prawym w oczekiwaniu wodza i... broni.

Z tą gotową już decyzją przyjął najbliższego swego przyjaciela i kolegę z Komitetu — młodego Stefana Bobrowskiego. Bobrowski przyszedł pożegnać się z wodzem i przyniósł mu dokumenty podrózne, mające go osłonić przed aresztowaniem podczas drogi.

— Śpieszyć trzeba, — dodał, — Potjebnia *) mi mówił, że jutro rano wyrusza wyprawa dla wyłapania w lasach uciekinierów od branki. Bądź dobrej myśli! Ludzie są ożywieni dobrym duchem, a gdy dostaną wodza tej miary, co ty, dadzą sobie rady z wrogiem. A jedno zwycięstwo poruszy tysiące chłopów, wtedy pewnikiem górą nasza! Trudno nam tu będzie dać sobie rady bez ciebie, zostajemy przecież sami nie wojskowi, ale jakoś to będzie. Zresztą po opanowaniu Płocka tam przeniesiemy rząd i ty go osłonisz, wodzu! Ty lud wolny poprowadzisz do boju!

Mówił z zapałem i gorącą wiarą, nie przekonał jednak przyjaciela.

— Lud prowadzić do boju! — twierdził ze zniechęceniem, — cóż temu ludowi damy do ręki? Kije, marne kosy? Nie, mój drogi, z tym nie zwyciężymy. Nic nam nie pozostało, jak umrzeć z honorem i po to jądę. Jedna, druga bitwa, krwią własną i wroga zlejemy obficie pole, oto wszystko, co zrobić mogę, co zrobić obiecuję.

Bobrowski pozostał przy swoim.

— Nieprawda, Zyguncie, nieprawda! Niechybnie położenie nasze ciężkie, ale nie wszystko stracone. Nie może być wszystko stracone, gdy z jednej strony do walki stanie człowiek wolny, o wolność walczący, z drugiej niewolnik, pędzony batem, a do wolności wzdychający skrycie. Zapominasz o naszych przyjaciółach w obozie wroga.

Padlewskiemu twarz się nieco rozjaśniła. Przypomniał sobie zebranie spiskowych oficerów, wśród których sam, były oficer, czuł się pewniej, niż gdzie indziej. Wszystko tam wydawało się pewniejszym, stalszym, silniejszym wreszcie. Charaktery, opanowane przez wychowanie i dyscyplinę wojskową, nawet przy rozgorączkowaniu spiskowym, dawały grupom

*) Oficer Rosjanin, stojący na czele spisku wojskowego w Królestwie.

oficerów pozory spokojnej siły. Nieraz zmęczony krzykliwymi i burzliwymi zebraniem spiskowych cywilnych, gdzie nerwy szarpał mu gorący powiew podnieconego tłumu, gdzie tak łatwo było o niesłuszne oskarżenie, o zwycięstwo pustego słowa czy górnolotnego frazesu — nieraz Padlewski odpoczywał na spokojnych zebraniach kolegów wojskowych. Tam każde słowo zdawało się być opoką nienaruszalną, a szable przy boku zebranych dawały poczucie gotowej już siły zbrojnej, którą gdzie indziej budować dopiero wypadało, budować, przełamując ogromne trudności i olbrzymie przeszkody.

Jako wódz powstania — jedyny fachowiec wojskowy pośród członków Rządu rewolucyjnego — liczył na wojskowe grupy rewolucyjne, jako na niezawodną siłę, jako na wielki atut w polityce powstańczej. Główna, co prawda, nadzieja powstania — spisek oficerski w Modlinie, fortecy i składzie broni, — rozwiała się niedawno przez aresztowania i translokacje podejrzanych, lecz pozostało jeszcze całe mnóstwo oficerów, wciągniętych do spisku, szczególnie wśród artylerii, broni najgroźniejszej dla Polaków, chociażby dlatego, że sami jej nie posiadali i niełatwo mogli ją stworzyć.

I teraz więc, gdy myślał o tych swych sojusznikach, może przyszłych towarzyszach broni, — uspakajał się powoli. Zresztą oddziaływało nań zawsze towarzystwo młodszego kolegi z Komitetu, Bobrowskiego, rozkochanego w wodzu bez zastrzeżeń, a stanowiącego dlań oparcie moralne wobec siły charakteru i woli, którą się odznaczał.

— Śpiesz, śpiesz! — powtarzał Bobrowski — nie poddawaj się rozpacz! Nam cofać się nie wolno! Przedwcześnieśmy powstałi do boju, ale lepiej tak, niż nigdy. Wierz w potęgę moralną powstającego ludu. Jedź do obozu, odzyskasz siły i energię. Zamówiłem już konie dla ciebie. Za chwilę ruszysz w drogę. Czy masz jeszcze jakie zlecenia?

— Żadnych, — odpowiedział Zygmunt — pamiętaj tylko o tym, że w fortecach Brześciu i Zamościu mamy przyjaciół oficerów. Lewandowskiego o tym zawiadomiłem i dałem mu odpowiednie wskazówki. Gdy do Lubelskiego wyznaczony będzie wojewoda, prześlij mu dane o Zamościu. Nie udaje się nam z Modlinem, może się udać z inną fortecą. To bardzo ważne!

Do pokoju wpadł, jak bomba, młodzieniec w czamarce. Był to Rogiński. Przyjechał z Białej, gdzie go rano zastał rozkaz powstania. Nie wierzył swym oczom, wydawało mu się to niemożliwym. Pędził ekstrapocztą, by sprawdzić rozkaz u źródła.

— Co czynicie? — zawołał. — Przecież nas rozbiją w puch! Nie mamy sił, ani oręża. Czyż nie wykladałeś nam w szkole, Zygmuncie, że tylko żołnierz z dobrą bronią zwycięża?

— Stało się! — odpowiedział spokojny już Padlewski. — Śpiesz z powrotem. Jeśli Bóg da, zwyciężymy. Niepodobna zresztą, by Europa dała nam zginąć. Bywaj zdrów! Być może, że ostatni raz się już widzimy, lecz pamiętaj, cośmy przysięgali, iż się nie cofniemy. Ja jadę natychmiast!

Przykrą mu była ta rozmowa. Z goryczą myślał, że jeszcze przed paru tygodniami ten sam Rogiński wspólnie z drugimi spiskowymi oskarżał go i jego kolegów z Komitetu o brak energii, o rozmyślne odwiekanie powstania, niedołęstwo, ledwie nie zdradę. I wówczas te same argumenty przeciw natychmiastowemu wybuchowi padały z jego ust, by się odbić o rozgorączkowane, nie rozważające głowy, jak groch o ścianę. Teraz, gdy fakt był dokonany, gdy się stało podług myśli najgorętszych, własne jego argumenty wracały, ale już jako zarzut przeciw niemu.

— Tłum jest zawsze niesprawiedliwym i zna tylko dzisiaj, dzień wczorajszy dla niego nie istnieje... — myślał.

*

*

*

Po szerokim gościńcu, idącym wzdłuż lewego brzegu Wisły od Warszawy do Modlina, pędziła pocztowa bryczka z dwoma podróżnymi. W dali czerniała ściana dużego boru. Pomimo widocznego zmęczenia koni woźnica raz po raz zaciągał je batem, nagłać do pośpiechu. Wreszcie bryczka zagłębiła się w las, konie po błotnistej drodze zwolniły biegu; westchnienie ulgi wyrwało się z piersi wszystkich. Woźnica uśmiechnięty odwrócił się do swych panów.

— Udało się! — mówił — można szkapiskom dać trochę wytchnąć; przed nocą staniemy w obozie.

Był to Padlewski ze swym adiutantem Seyfriedem, których do obozu w puszczy kampinoskiej odstawiał pocztylion, należący do organizacji. Dopóki podróżni nie dostali się do lasu, byli wciąż zdani na łaskę i niełaskę patroli kozackich, włóczących się po okolicy. Przed wyjazdem z Warszawy kilkakrotnie zatrzymywały ich patrole; badano ich, rozpytywano: po co, na co jadą, jakie mają dokumenty? Ciągłe byli o włos od aresztowania, jechali cały czas z perspektywą spędzenia nocy nie w obozie powstańców, dokąd zmierzali, lecz w wię-

zieniu, którego unikanie stanowiło sztukę życia rewolucyjnego.

Znowu Padlewski czuł pod sobą ten dziwny, chwiejny i niepewny, grunt, na którym niesposób czynić zimnych obrachowań i spokojnych planów. Znow na każdym kroku czuł niejako oddech wroga, z którym miał wojować, znow był w zupełności w sferze jego działania. Przypominał sobie dowódców wojsk na manewrach — tych próbach wojny. Pamiętał ich, otoczonych licznym sztabem, osłoniętych oddziałem jazdy, pomimo, że byli od nieprzyjaciela oddzieleni jeszcze murem bagnatów własnych, tysiącami piersi żołnierskich, idących do boju. Tu on, wódz, nie miał nic podobnego, tu wróg zewsząd go otaczał, nieledwie dotykał go fizycznie.

A zarazem, gdy jechał ulicami Warszawy i polami Mazowsza, spotykając człowieka, nieodzianego w mundur wroga, myślał o nim, jako jutrzejszym towarzyszu broni, który go, jak swego wodza, będzie bronił i osłaniał. Tylko dzisiaj jeszcze brak ujawnionej zbrojnej siły stawiał początki działań ciągle pod znakiem zapytania, przewracając całkowicie wszystkie znane pojęcia o wojnie. Więc prędej do obozu! Prędej tam, gdzie pod sobą ma się trwałe, niezdradliwy grunt siły zbrojnej pod nogami. Niech ta siła będzie mała, niech będzie źle uzbrojona, z nią jednak jawnie się walczy, choćby umierać przyszło!...

Z daleka poprzez drzewa błyskały rozpalone suto ogniska. Na polanie do pięciuset ludzi skupiało się koło ognia, przygotowując się do noclegu pod chmurnym niebem styczniowym. Ludzie gwarzyli. Koło niejednego ogniska panowało zniechęcenie. Zmęczeni, zziębnięci wylewali swą gorycz i niezadowolenie na władzę rewolucyjną, szukając w niej winy.

— Obiecywano broń, obiecywano wodzów, zwycięstwa — gdzie to jest wszystko? Sami tam wygrzewają się w ciepłych pokojach, śpią na puchach, a ty, człeczko, tułaj się, jak wilk, po lesie, śpij na gołej, zimnej ziemi, ba, nie miej często kawałka chleba marnego...

Szeptano o zdradzie władzy, zmawiano się do ucieczki, bąkano o oddaniu się w ręce wrogom, byle móc się wywczasować i najeść do syta.

Gdzie indziej młodzież wesoło się bawiła, zapominając przy żartach i dowcipach o wszelkich niewygodach i bawiąc się nawet tą zimową majówką w wiecznie zielonym lesie. Humor podtrzymywał wiarę i snuto przy trzasku palącego się drzewa rojenia równie fantastyczne, jak te płomyki, przeskakujące w ognisku wesoło od trzaski do trzaski.



Mapa puszczy Kampinoskiej i Serockiej

O nieprzyjacielu nie myślał nikt, ani ci, którym było wesoło, ani ci, których dręczył smutek. Nie było to wojsko, co, znając zdradliwe prawa wojny, czujnymi się otacza czatami, co mechanicznie, jak zegarek, spełnia swą powinność. Nie było tam oficerów i podoficerów, przelamujących zmęczenie żołnierza, zmuszających do pracy rycerskiej, nieraz uciążliwej i niemilej. Nie było tam ładu i porządku, wciskającego każdego na swoje miejsce, jak niewielki trybik czy sztyfcik do sprawnej maszyny. Każdy robił, co chciał i jak chciał, nie dbając o innych. Nie było żadnej myśli kierowniczej, spajającej to zbiorowisko kilkuset ludzi w jedną całość, zdolną do jednolitego ruchu i życia.

To też, gdy Padlewski niespodziewanie zjawił się wśród tego towarzystwa — wojskiem tego nazwać nie można było — musiał podjąć ciężką i trudną pracę, by nadać tej zbieraninie chociażby pozory wojska i nauczyć ją najelementarniejszych form bytowania wojennego. Musiał wraz ze swym adiutantem być naraz i wodzem, i sztabowym oficerem, i podoficerem nawet.

Zapowiedział wymarsz na dzień następny. Wiedział, że z różnych stron dążyć będą jutro oddziały nieprzyjacielskie, by wyłapać poborowych, zebranych w lesie. Wiedział też, że nie mógłby stawiać oporu natarciu z tym wojskiem zaimprovizowanym, w dodatku licho uzbrojonym: na pięciuset zebranych było zaledwie kilka sztuk broni palnej marnego gatunku, reszta była uzbrojona w kosy lub — gorzki śmiech zbiera — pałki i drągi. Postanowił więc szybkim marszem przerzucić się za Wisłę, dążąc do złączenia swego oddziału z innymi w województwie płockim, które obrano za główną podstawę dalszych działań wojennych.

Gdy nazajutrz kolumna oddziału wymaszerowała wylotem na północny zachód ku Secyminowi nad Wisłą, z różnych stron dążyło już wojsko nieprzyjacielskie obławą na lasy kampinoskie. Więc z Warszawy wyszedł podpułkownik Bremsen z kilku kompaniami piechoty i sotniami kozaków, więc z Płocka wyruszył major Sławin na czele paruset kozaków, a wreszcie po drugim brzegu Wisły maszerował, rozsypując wszędzie patrole, oddział jazdy pod pułkownikiem Riedieckinem.

Nie była to właściwie wyprawa wojenna: jako taka nie miała prawie sensu. Chcieć bowiem, aby tysiąc kilkaset ludzi, z których połowa piesza, zamknęło szczelnie oczka olbrzymiej sieci, ogarniającej 300 kilometrów kwadratowych, i jeszcze dostarczyło dostatecznie silnej kolumny na bój przy spotka-

niu z nieprzyjacielem — było to żądać od wojska roboty, graniczącej z niepodobieństwem. Tym bardziej, że konnica, służąc mająca do szybkiej posługi wywiadowczej, mało była przydatna wobec lesisto-błotnistej terenu, który przeszukać należało. Zresztą nie było jeszcze wojny. Było drobne zamieszanie i wojsko miało tu wyręczyć właściwie nieliczną i niesprawną policję — nic więcej.

To też oficerowie, którym zadanie poruczono, nie przyjęli go z zadowoleniem. Pomimo woli przychodziła im do głowy możliwość oporu, a na wypadek walki byli za słabi i ta włóczęga po lasach, w przypuszczeniu, że zwierz osaczony nie ruszy się z miejsca, że będzie czekał, nim go z bliska osaczą, nie uśmiechała im się wcale. Przy jakiej takiej ruchliwości osaczonego uderzenie paść mogło w próżnię i wynik oblawy nie rokował powodzenia.

Lecz pan każe, sługa musi. Nie wojskowe, ale cywilne władze, na których czele stał sam brat cesarza, tak były pewne swego, tak liczyły na łatwy i pewny tryumf, że nawet, dla uniknięcia rozlewy krwi i związanego z tym rozgłosu, nakazały wojsku iść na te łowy bez nabitej broni, chwytając osaczonego zwierza gołymi rękami, by tym bardziej go upokorzyć, tym większy wznieść w nim szacunek dla siły władzy prawowitej. Pan każe, sługa musi! I po błotnistych leśnych drogach powoli wlokły się kolumny wojska, rozsyłając leniwie patrole, gdy zwierz, na którego polowano, wiedząc o oblawie, już się zbliżał do Wisły, za którą zaczynała się przestrzeń, wolna od założonej sieci. Jeżeli co było przeszkodą, to nie pomyślana niedołącznie i nieśpiesznie wykonana oblawa, lecz przeszkody fizyczne w postaci Wisły samej.

Wisła jeszcze nie puściła, lecz lód wobec cieplej pogody był słaby i trzeszczał pod nogami. Pierwsi, którzy na rzekę weszli, cofnęli się z przestrachem. Lecz Padlewski w obozie odzyskał już swą energię i zdołał zapanować nad oddziałem. Dzięki niemu przeprawa pod Secyminem odbyła się bez wypadku. Szła wolno, drobnymi grupami, trwała całą noc nieledwie, lecz została dokonana i gdy wreszcie oblawa, idąc śladami, doszła do Secymina, Padlewskiego i jego oddziału już dawno nie było tutaj; zdążył już bowiem ująć dobry kawał drogi, z każdą chwilą oddalając się od niezręcznych łowców. W sieciach pozostali tylko ci, co tego chcieli; ci, których zniechęcenie i zmęczenie nie minęło pod wpływem zjawienia się Padlewskiego. Takich było niewielu — zaledwie dziewiętnastu na 500, którzy byli w składzie oddziału.

Tak samo wypadły łowy, zorganizowane przez władzę cywilną w innej puszczy — serockiej koło Zegrza.

Popisowi z Warszawy, którzy się tam zgromadzali, przeszli przez Narew i Wkrę, a uniknąwszy niezręcznie zastawionej sieci, dążyli, jak i Padlewski, do województwa płockiego. Jeżeli zaś dodamy, że i z samego Płocka wyszło kilkuset ludzi, słusznie czy niesłusznie podejrzewających, że są na liście konspiracyjnej rządu, zobaczymy, że w okolicach Płocka nagromadziła się w ten sposób większa ilość materiału palnego, zdatnego i przysposobianego do wstępnych kroków, wstępnego boju powstania.

Materiał ten, co prawda, znajdował się w strasznym chaosie; grupy bez organizacji wojennej, bez administracji, przygotowanego prowiantu, odzienia i, co główna, broni. Najpilniejszą więc pracą władzy powstańczej, a w pierwszym rządzie Padlewskiego, było jakie takie zorganizowanie grup i rozmieszczenie ich w okolicy do wyznaczonego terminu wybuchu — do 22 stycznia.

Włóczęga jednak tysiąca ludzi po wsiach i dworach, nieoswojonych z takim ruchem, nie mogła być utrzymana w zupełnej tajemnicy i niejasne, mętne opowiadania o tych zbiorowiskach dochodziły do Płocka, siedziska głównej władzy w tej stronie kraju. Wysłano więc stamtąd rekonesanse — nie w celu wojny, bo tej jeszcze nie było — lecz tak samo, jak nieudane łowy karpinowskie i zegrzańskie, w celach policyjnych, z tym samym rozkazem nienabijania broni, ale brania opornych popisowych żywcem.

Ten półśrodek — grzeszna surowość — jak zwykle półśrodki w czasie wojny, dał rezultaty nie nikłe nawet, ale wręcz ujemne. Wszystkie rekonesanse męczyły się bezcelowym łażeniem po drogach, dworach, wszystkim grzesznie usuwano zawczasu z oka ludzi obcych, by natychmiast po odejściu wojska tym swobodniej gości i ukrywać popisowych w okolicy, zbadanej już przez wroga. Na czele tych bezpłodnych rekonesansów stał pułkownik Kozłaninow, człowiek, bolejący nad nieszczęściem kraju, nie chcący zadawać ran zbytecznych, jednym słowem, człowiek zasad humanitarnych. Nieszczęśliwy, znając brutalną szorstkość swych kolegów, sam prosił o dowództwo i szedł w burzę z gałązką oliwną pokoju. I trzeba było tej ironii losu, by właśnie jemu z godłem pokoju w ręku przyszło doprowadzić do pierwszego rozlewu krwi.

Przebiegając z drobnym, kilkaset ludzi liczącym oddziałem pola i wsie płockiego województwa, natrafił przy wsi Ciolkowie na setkę popisowych, rozlokowanych we dworze ta-

mecznym, a spożywających w tej chwili obiad. Oddział polski, przewodzony przez Rogalińskiego, oficera z armii Garibaldi'ego, nie zdążył zgodnie z ogólną instrukcją usunąć się niepostrzeżenie z oczu Rosjan. Wycofał się do lasu, lecz tuż za nim podążał Kozlaninow.

I oto wreszcie oddziały stanęły naprzeciw siebie. Rosjanie z nienabitą bronią, rozsypani szerokim łańcuchem dla oblawy — łapania według rozkazu żywcem; żołnierze, nie znajdujący się jeszcze w stanie wojny, a pełniący jedynie posługi policyjne. Polacy, skupieni w kolumnę, licho uzbrojeni — załedwie w dwie strzelby myśliwskie na cały oddział, reszta w kosy lub nawet kije. Kozlaninow zgodnie z pokojową misją, którą miał w sercu, zbliżył się do Polaków i zwrócił się do nich z sentymentalną przemową. Przekonywał o konieczności oddania się w ręce prawowitej władzy, obiecywał nieledwie bezkarność. Losy zależały zupełnie od tego, czy oddział polski uczuje się stroną wojującą, zdecydowaną na wojnę i świadomą jej wymagań, czy też przemoże w nim pokojowe przyzwyczajenie do posłuchu dla władz urzędowych. Każdy z tej setki ludzi Rogalińskiego jeszcze przed chwilą był nie żołnierzem i sama żołnierka zależała od jego własnej nieprzymuszonej woli, trzeba więc było, aby w duszy każdego z nich nastąpił nakaz «stań się!»; wówczas dopiero możliwymi będą jakiegokolwiek zjawiska wojny.

Nastąpiła więc krótka chwila wahania i wreszcie Rogaliński, jak gdyby wyczuwając wzmaganie się ducha wojny u swych podkomendnych, z okrzykiem rzucił się naprzód. Potyczka trwała tylko chwilę. Niewielka przestrzeń dzieliła przeciwników, a w starciu na białą broń wyciężył, jak zwykle, atakujący zbitą masą, tym bardziej, że nieprzyjaciel, psychicznie do boju niegotowy, rozciągnięty w szyk, niezdatny do boju, stracił od razu dowódcę, który padł z rozplataną głową. Do 50 żołnierzy zostało na placu; reszta w popłochu uciekła, roznosząc wieść o porażce. Apostoł pokoju w czasie wojny padł ofiarą fałszywego zrozumienia rzeczy zarówno przez siebie, jak przez swych przełożonych.

Polacy mieli załedwie kilku rannych, lecz pomiędzy nimi był ich dowódca, Rogaliński, który, straciwszy w starciu oko, musiał opuścić swe stanowisko. Jeśli oddział rosyjski, doznawszy porażki, rozprzegł się zupełnie, to jednak żołnierze, przyłączywszy się już tego samego dnia do innych drobnych oddziałów, w okolicy rozsianych, zdatni byli nazajutrz do boju. Inaczej było z Polakami. Ich hufiec wyczerpał się moralnie nawet zwycięstwem. Ludzie, niespojeni w jedno długim wpół-

nym życiem żołnierskim, nie mający zaufania do siebie, musieli nawet dla krótkotrwałego boju zdobyć się na taki wysiłek energii i woli, że natychmiast po fakcie nastąpiła reakcja — zmęczenie i upadek na duchu, osobliwie, gdy zabrakło oficera, który zwycięskiej walce przewodził. Wojna, w zasadzie już pełna niespodzianek, staje się nimi przesycona, gdy samo wojsko jest niespodzianką, a nie organizacją, zawczasu przez długi czas przygotowywaną do wojny.

*
* *

Był to pierwszy bój, pierwszy podmuch wichury, zwiastującej nadchodzącą burzę. Była to zarazem jakby ilustracja ogólnego położenia stron walczących. Rosjanie, nie znajdujący się jeszcze w stanie wojny i łudzący się nadzieją zażegnania niebezpieczeństwa środkami, będącymi mieszaniną łagodnej ustepliwości z terorem i surowością postępowania wojennego. Wykonawcą tej dziwacznej dyplomacji miało być wojsko, jako ostatni najpoważniejszy argument władzy chwiejącej się i chwiejnej. Szło więc wojsko wszędzie, gdzie ten argument niejako naocznie musiał być przedstawiony, szło w celu nastraszenia nieposłusznych, mając zarazem rozkaz postępowania grzecznego i możliwie zgodnego, nie jątrzącego stosunków wzajemnych z otoczeniem.

A że nieposłusznych było wielu, a jeszcze więcej takich, których o chęć nieposłuszeństwa posądzano, więc wojsko posyłać trzeba było nieledwie wszędzie. I oto powoli, stopniowo większe skupienia wojskowe topniały: drobne oddziały wychodziły na czasowe postoje do tego lub owego miasteczka, czasowy pobyt się przedłużał i wreszcie cała duża armia, rozdrobniona na małe garnizony czasowe, stanowić zaczęła niewielkie wysepki wojskowe wśród morza obcego, najczęściej wrogiego otoczenia. Dyplomatami zaś z hasłem surowej łagodności stawali się najczęściej młodzi, nie znający życia subalterni-oficerowie, dowódcy kompanii, szwadronu lub baterii, nieprzyzwyczajeni do brania większej odpowiedzialności na swe barki.

Nie na wojnę szły te drobne oddziały, odrywając się, jak sądzono, tylko na czas krótki od macierzystych garnizonów, składów i magazynów. Nie na wojnę, lecz dla prowadzenia polityki państwowej! Więc nie zaopatrywano ich na wojnę — ani w dostateczną ilość naboju, ani w należyty tabor, ani w zapas odzieży lub instrumentów; wszystko to zostawało pod raz po raz malejącą opieką dawnych garnizonów z czasów spo-

koju. Pułki leżały bez osłony, artyleria stała często bez należytej asekuracji. Generalowie przestali właściwie dowodzić swymi dywizjami i brygadami, pułkownicy — pułkami, najczęściej nawet majorowie swymi batalionami. Kompanie, szwadrony lub baterie stały każda osobno, żyjąc życiem prawie samodzielnym, osobliwie wobec braku nowoczesnej komunikacji w kraju. Oficerowie-subalterni i żołnierze chwalili sobie taki stan rzeczy, był on dla nich dogodnym. Zdaleka od oka i kontroli wyższej władzy, bez możliwości odbywania ciężkiej musztry, tonęli w słodkiej drzemce, do której zresztą ciągnął ich także charakter rasowy. Obok tego całe mnóstwo oficerów, Polaków lub Rosjan, wciągniętych do spisku, świadomie przymykało oczy na wszystko, co się działo dokoła, wybierając z nakazanej im łagodnej surowości pierwszą połowę formuły, jako najlepszy sposób wybrnięcia ze sprzeczności, zawartej w rozkazie.

Takich drobnych garnizonów, rozsypanych po Królestwie, było 180. A że cała armia liczyła 101.880 ludzi, więc przeciętnie wypadało na garnizon ludzi 566. Lecz główne miasta kraju, siedliska władz centralnych, nie mogły przecież pozostać bez silniejszej obsady. Sama Warszawa pochłaniała 21.503 garnizonu. Miasta Lublin, Radom, Kalisz i Płock, w których znajdowały się komendy dywizyjne, oraz fortece Modlin, Dęblin i Zamość miały też większą załogę, w sumie wynoszącą 13.370 głów. A wobec tego przeciętna załoga w innych miejscach spadała w przecięciu zaledwie do 390 ludzi.

I te drobne załogi w najbliższych czasach miały się rozdrobnić jeszcze bardziej. Wyznaczono pobór wojskowy i dla poparcia władz cywilnych od tych «dyplomatycznych» kompanij i szwadronów miały odejść «policyjne» plutony i sekcje dla asysty przy poborze, dla konwojowania rekruta i wszelkich czynności policyjnych, chociażby np. łapania po lasach uciekinierów, jak to robił nieszczęsny Kozłaninow ze swym oddziałem. Pobór był wyznaczony na 26 stycznia, na dziesięć dni po nieudanym poborze w stolicy — Warszawie.

I właśnie te dyplomatyczno-policyjne oddziały, nieprzygotowane do wojny ani psychicznie, ani technicznie, miały zgodnie z planem powstania być pierwszym obiektem ataku rewolucji. Przedmiotowo była może i dobrze wybrana, lecz jakież były środki i możliwości ataku?

Jeśli armia rosyjska była rozdrobnioną, to siły polskie były wprost w stanie luźnych atomów wojskowych, niespojonych w żadną organizację wojenną, związanych jedynie spiszkowym, tajnym dla całego otoczenia, łącznikiem systemu dzie-

siątkowego. Każdy z tych dziesiątków pozostawał pod wszelkimi względami w zupełnej zależności od sumienia i umiejętności swego dziesiątnika, czy to pod względem napięcia rewolucyjnego i moralnej gotowości do boju, czy to pod względem szybkości mobilizacyjnej, czy też nawet pod względem samego istnienia, niekontrolowanego najczęściej przez nikogo dla przyczyn natury konspiracyjnej. Wszystkie więc obliczenia co do liczby i czasu wisiały niejako w powietrzu bez trwałego, widocznego dla wszystkich gruntu i podstawy.

Każdy, wróg czy przyjaciel, mógł siły rewolucji taksować, jak chciał, jak mu usposobienie i wyobrażenia nakazywały. Więc taksowano je rozmaicie, przeważnie jednak in plus, nie in minus. I jak zresztą mogło być inaczej, gdy na świecie działy się rzeczy i wypadki, które tylko siłą rewolucji wytłumaczyć można było? Nie co innego, jak ta tajna siła wymuszała raz po raz ustępstwa polityczne, pobudzała do pobłażliwego traktowania postępów, które jeszcze niedawno nie mogły nawet być pomyślane przez najodważniejszych. Ta siła jednak nie na wiele się zdała do boju, gdzie uczucie, namiętność i zapał tylko wspierają ramię, lecz samo ramię i broń przy nim jest nieodbycie koniecznym.

Jeśli armia rosyjska nie była dla wojny przygotowana i łatwo stać się mogła łupem umiejętnego i energicznego napastnika, to przygotowania wojenne polskie wyglądać raczej mogły na przygotowania do oblawy na dzikiego zwierzca w jakim leśnym ostępie, niż na zamiar wojny. Dubeltówki, kosy, drągi — to broń; żadnych składów i magazynów, żadnego zapasu odzieży i obuwia, żadnych środków do wyekwipowania żołnierza. Zdawało się, że ludzie wybierają się na kilkodniowe polowanie, po którym zdrowo i szczęśliwie wrócą do domu.

Lecz rozkaz był dany, termin boju wyznaczony. Pobór na całej prowincji miał nastąpić 26 stycznia, chciano go uprzędzić i jako pierwszy dzień wojny wybrano dzień 22 stycznia. Nie dzień, raczej noc, gdyż dla ukrycia swej słabości organizacyjnej i technicznej i dla wyzyskania w zupełności czynnika niespodzianki, nakazano nocne napady na garnizony rosyjskie. Szło więc przede wszystkim o utrzymanie tajemnicy, co niechybnie zmniejszyć musiało zarówno liczbę powstańców, jak i stopień ich przygotowania wojennego.

Zaczęły się więc w całym kraju ciche szepty, częste rozjazdy kurierów i kurierek, gorączkowe przygotowania. Czasu było mało, a noc 22 stycznia szybko się zbliżała!

*

*

*

Pułkownik Lewandowski w Siedlcach otrzymał rozkaz z Komitetu Centralnego dnia 17 stycznia. Pomimo umówionych znaków na piśmie, pomimo, że był pewien kurierki, która rozkaz przywiozła, nie dał wiary poleceniom. Jeszcze niespełna dwa tygodnie temu — 5 stycznia — gdy wyjeżdżał z Warszawy dla objęcia stanowiska dowódcy sił zbrojnych Podlasia i Lubelskiego, zapewniano go, że wybuch nastąpi nieprędko. Padlewski rozmówił się z nim tylko ogólnikowo, licząc, że do czasu działań nieraz przyjdzie do szczegółowego omówienia planu. A teraz nagle ten rozkaz równie ogólnikowy, nie wchodzący w żadne szczegóły, jak gdyby Lewandowski miał być już czas i możność poznać i zbadać szczegóły tak rozległego terenu. Dziwny rozkaz!

— I jeszcze — myślał, — gdybym przy tym przelotnym obznajmieniu się z częścią podległych mi sił znalazł był dostateczne siły, dostateczne przygotowania! Ale, przeciwnie, wszystko jest raczej niegotowe do wybuchu!

Przypomniał sobie swą tygodniową podróż. Był w Siedlcach — organizacja nieliczna, możliwa pomoc od oficerów spiskowych. W Białej — okolica zrewolucjonizowana, oficer artylerii Zarzycki obiecywał rozdać ślepe ładunki żołnierzom i twierdził, że w 500 ludzi, nawet źle uzbrojonych, zdobyć można armaty. W Brześciu to samo — tam trzeba 5.000 ludzi. W Węgrowie i Sokołowie silne wpływy przeciwników powstania — białych. Przelotne rozejrzenie się w sytuacji pozwala przypuszczać, że nie jest tak źle, że dużo dałoby się zrobić, ale na to trzeba czasu, czasu, jeszcze raz czasu.

— Teraz dopiero mógłbym — myślał dalej — przystąpić do szczegółów, ułożyć je w system, dostosować go do okoliczności terenu i warunków lokalnych, i to tylko w tych miejscach, gdzie byłem. Nie znam jeszcze dwóch trzecich swego terenu, ani zajrzałem na południe i nie wiem, co się tam dzieje.

Szeptał z wściekłością:

— Jak — u pioruna! — mam działać?!

Przeczytał raz jeszcze rozkaz:

— Napadać na garnizony w nocy 22 stycznia, starać się utrzymać w swoim posiadaniu szosę moskiewską, przy niemożliwości dowiedzionej przenosić teatr małej wojny na wschód, na Litwę.

Przypomniało mu to rozmowę z Padlewskim:

— Wschód cały prowadzi ostrą demonstracyjną i partyzancką walkę, przecinając komunikację Warszawy z Rosją, a pod osłoną tej walki na południu, w Sandomierskim, i na

północy, w Płockim zbierają się i organizują armie polskie do marszu na Warszawę.

Taki w ogólnych zarysach plan był mu przedstawiony w tych rozmowach, te same też ogólnikowe wskazówki zawierał rozkaz.

Opadały go coraz bardziej zwątpienie i niepewność.

— Przecież — myślał dalej — muszą tam w Warszawie wiedzieć, że świeżo tu przybył, że nie mogłem w dwa tygodnie poznać i obmyśleć wszystkiego dokładnie. Powinni byli wziąć to pod rozwagę i dać mi lepsze i szczegółowsze rozkazy, dane, wskazówki. Niechbym miał za sobą miesiąc lub dwa pracy przygotowawczej, już wiele dałoby się zrobić!

Głęboko zamyślił się pułkownik i wreszcie po namyśle zasiadł do pisania. Pisał prośbę o odwołanie rozkazu, motywując ją niedostatecznym przygotowaniem województwa do walki, powołując się na rozmowy z Komitetem z przed dziesięciu dni, obrady, w których odkładano wybuch na czas późniejszy.

Jeszcze tegoż dnia wieczorem nadszedł powtórny rozkaz z zawiadomieniem, że Komitet opuszcza Warszawę i że cały kraj ma taki sam rozkaz, a zatem Podlasie nie może pozostać w tyle.

Pułkownik wzruszył ramionami: «Nieodwołalne — trzeba rozkaz spełnić, trzeba śpieszyć, bo czasu mało!»

— Być może — pomyślał, chcąc usprawiedliwić polecenie, — iż inne województwa zachodnie są lepiej przygotowane, niż moje. Ja mam demonstrować tylko, niechże będzie możliwie dobra demonstracja! Na szczęście spadło z mojej głowy Lubelskie, Warszawa sama się nim zajęła; nie wiedziałbym, co z tym zrobić, jak nadażyć w tym krótkim czasie z robotą na takich przestrzeniach! I z tym, co mam, daj Boże wydołać!

Tejże nocy z Siedlec popędzili kurierzy i kurierki z zawiadomieniem o terminie o rozkazie Komitetu do dowódców powiatowych, wyznaczonych zawczasu. Od nich wieść szła już wolniejszą drogą, drogą nieledwie ustną od człowieka do człowieka, omijając tych, których podejrzewano o gadulstwo, a których zostawiono na ostatnią chwilę. Droga powolna, droga zawodna! Niektórzy otrzymali zawiadomienie o punkcie zbornym zaledwie na kilka godzin przed terminem wyruszenia, a przecież trzeba było każdemu jakoś się opatrzeć na wojenkę, urządzić swe domowe interesy i sprawy przed wyprawą, z której często już się nie wraca.

Do niektórych rozkaz dochodził już po czasie; bywało tak nawet z naczelnikami, jak np. z Krysińskim, wyznaczo-

nym do napadu na Międzyrzecz. Każdy przyjmował rozkaz tak, jak w danej chwili nakazywał mu nastrój jego: gdy była chętka — szedł na wskazane miejsce, gdy tchórz obleciał lub wprost ostrożność przeważała — zostawał spokojnie w domu, wiedząc, że nikt go do wojaczki nie zmusi i że za dezercję żadna kara nań nie spadnie.

Nazajutrz pułkownik Lewandowski ze swymi podwładnymi z powiatów siedział nad rozłożoną mapą. Wszyscy biali, wszyscy źle tuszyli o sprawie. Zącęto obliczenia.

Na szosie, wiodącej z Warszawy do Brześcia Litewskiego, cztery główne punkty były zajęte przez Rosjan: Siedlce z załogą jednego batalionu piechoty i setki kozaków, — Łuków, obsadzony dwoma kompaniami piechoty, Międzyrzecz ze szwadronem ułanów i wreszcie Biała z baterią artylerii konnej, setką kozaków i jedną kompanią piechoty. Wszędzie istniało porozumienie z oficerami, należącymi do spisku, więc wiadomym było nieledwie każde poruszenie w garnizonie i liczyć można było na pomoc w obozie wroga. W Łukowie i Białej po kilkunastu żołnierzy Polaków było w zмовie z rewolucją i miało natychmiast przejść do szeregów powstańczych.

Pomimo tych słabych stron u nieprzyjaciela przedstawiał tenże siłę 2 tysięcy kilkuset bagnatów i szabel z dodatkiem ośmiu dział. Siła potężna w porównaniu z tym, co powstanie przeciw niej wystawić mogło.

Przeciwko Siedlcom postanowiono użyć organizacji z Siedlec, Sokołowa i Węgrowa z dodatkiem ludzi spod Łosic. Siły te każdy liczył inaczej; gorętsi spodziewali się 3-ch tysięcy, chłodniejsi doliczali się tysiąca. Dowodzić miał sam pułkownik Lewandowski. Łuków z okolicą, dobrze zorganizowaną, miał opanować ksiądz Brzózka ¹⁾; liczył, że zbierze 3.000 ludzi, co aż nadto wystarczało na słabą załogę łukowską, tym bardziej, że w spisku było sporo żołnierzy Polaków. Międzyrzecz oddano Krysińskiemu, którego na naradzie nie było; liczono tam na kilkuset ludzi; zadanie tu wyglądało tym łatwiej, że piechoty nie było wcale. Wreszcie Białą z artylerią poruczono młodemu Rogińskiemu, który najgorętszy ze wszystkich — był teraz pewien swego: cały powiat był zorganizowany — jego zdaniem — i na każde skinienie wszyscy gotowi tam byli stanąć!

Lecz piętą achillesową było uzbrojenie. Broń była w tak śmiesznie małej ilości i w dodatku tak licha, że na myśl o gwintowanych karabinach i armatach nawet odważniejszym ręce

¹⁾ Brzóska Stanisław (1832—1865), ksiądz i dowódca powstańczy, wybitna postać powstania styczniowego.

opadały. Trzeba wykorzystać zatem słabą stronę przeciwnika; kazać działać swoim sojusznikom w jego własnym obozie. Więc oficerowie, należący do spisku, wszędzie otrzymają nakaz, aby wznaczony dzień urządzić jaką ucztę, tak, by wszyscy dowódcy, nawet pomniejsi, osobno od swych żołnierzy stać się mogli łatwym łupem napastników. Liczono na to, że żołnierze, pozbawieni kierowników i zaskoczeni nagłym napadem, nie będą w stanie wykorzystać w dostatecznej mierze ani siły swej organizacji, ani potęgi swej broni. W najgorszym razie mogło to zrównoważyć szanse nierównego boju. Nawet najchwiejniejsi sądzili, że przy takiej pomocy sprawa beznadziejną nie jest.

Resztę załóg, rozsypanych w województwie, leżących z boku głównej linii komunikacyjnej, przydzielono innym. Więc Deskur, obywatel ziemski, otrzymał Radzyń, punkt ważny, bo obsadzony artylerią i piechotą. Więc Nencki miał prowadzić napad na Kodeń, gdzie, na trzy mile od fortecy brzeskiej, stał prawie bez osłony pułk artyleryjski z magazynem broni i amunicji. Wreszcie na Łomazy z załogą kawaleryjską miał napaść Szaniawski. W każdym z tych miejsc liczono na kilkuset powstańców. Kilka wreszcie pomniejszych punktów, zaopatrzonych w drobniejsze załogi, jak Węgrów, Sokółów, Mrocзки, Serokomla, Kock, Ostrów i Łaskarzew, postanowiono zostawić w spokoju: zabrakło na to wodzów i sił spisku. Zresztą w razie powodzenia, choćby tylko częściowego, w głównych siedliskach władzy wojennej te drobne oddziały muszą stracić orientację i w każdym wypadku w trudnym znajdują się położeniu, jeśli nawet nie przepadną zupełnie.

Jako dalszy, wspaniała już etap rozwoju rewolucji, rysował się Brześć Litewski. Przyświecał on wyobraźni Lewandowskiego, jak gwiazda przewodnia. Po udanych napadach złączonymi siłami ruszyć pod fortecę, gdzie spiskowi oficerowie ułatwią jej zdobycie! Dałoby to od razu szeroką i pewną podstawą powstaniu nie tylko już na Podlasiu, ale w całym kraju i postawiłoby wojsko rosyjskie w Polsce w położenie groźne i trudne.

Na wypadek nieudania się napadów, zgodnie z poleceniem Komitetu, miano się przenieść na Litwę, rozszerzając ideę buntu i teatr wojny.

Role zostały rozdane, plan osnuty.

Do pracy! A pracy było jeszcze wiele!

Każdy z poszczególnych dowódców musiał obmyśleć szczegóły swego postępowania. Ba, gdyby tylko obmyśleć! Każdy miał na głowie też i przygotowanie wszystkiego do wy-

buchu nieledwie własnoręcznie. Wobec konieczności zachowania ścisłej tajemnicy, liczba ludzi, zajętych przygotowaniami, musiała być bardzo ograniczoną, by żadna liczniejsza grupa ludzi, nawet nieuzbrojonych, żadna furmanka z bronią czy amunicją nie spotkały na swej drodze czujnego oka wroga, nie wydały sekretu przedwcześnie. Koncentracja sił i środków tak łatwa, gdy siła zbrojna kroczy jawnie do swego celu, naginając całe otoczenie do swojej woli i potrzeby, napotykała tutaj liczne, nieraz zupełnie nie dające się przewidzieć przeszkody i wywoływała tarcie tak silne, jakiego nie zna armia regularna. Hasłem tu było nie przystosowywanie otoczenia do swej wygody, lecz wbrew swej wygodzie, a zatem ze stratą czasu i wysiłków, przystosowanie siebie samego do otoczenia, zniknięcie w nim, rozplynięcie się aż do niewidzialności. Tylko ta czapka-niewidka dawała gwarancję sekretu, tylko ona jakimś niewinnym pozorem osłaniała groźne przygotowania.

A ileż w takiej pracy niespodziewanych zagadek losu i ślepego wypadku? Zagadek, wypadków, których zgubnego wpływu niczym parować niesposób! Zdradliwymi są prawa wojny, zdradliwymi niechybnie, lecz przesiąkniętym zdradą staje się powietrze, gdy sama wojna inaczej nie może się przejawiać, jeno podstępem i zdradą.

*

*

*

Nadzwyczajny ruch panował w Horostycie, cichym zwykle dworku podlaskim. Pani domu wraz z fraucymerem przez cały dzień gotowała, smażyła i piekla, wieczorami zaś sytło jakieś woreczki, darto i szarpano bieliznę i płótna. Niezbyt wesołe widocznie były przygotowania, bo pani nieraz ukradkiem łzy ocierała i tuliła drobne dzieci do siebie. W całym dworze rozmawiano szeptem, oglądając się, by nikt nie słyszał, nawet swawolne dzieci przyciszonym głosem komunikowały sobie spostrzeżenia nad tą dziwną, nieznaną im dotąd krętaniną i nerwową, pośpieszną pracą starszych. Nie miały to być ani imieniny, ani częste dawniej przyjęcia sąsiedzkie. W kuchni nie robiono zwykłych w tych wypadkach smakołyków, lecz gotowano proste, chłopskie jedzenie i w takiej ilości, jak gdyby miano przyjmować wszystkie wsie okoliczne.

Pan domu, znany na Podlasiu obywatel ziemski, Bronisław Deskur, chodził z miną zakłopotaną po dworze, przynaglał wszystkich do pośpiechu, raz po raz zamykał się w swym gabinecie na cichą rozmowę z przyjacielem i dalekim sąsiadem, Teodorem Jasińskim. Po takiej rozmowie zwykle wy-

chodził do izby folwarcznej i po chwili na drodze rozlegał się tętent cwałującego konia, wiozącego chłopca z posyłką do sąsiada, do miasta, czy okolicznej wioski lub plebanii.

Pan Deskur przygotowywał się do napadu na Radzyń. Dom jego stał się główną kwaterą, dla ułatwienia zaś sprawy i zarazem punktem koncentracji dla broni, amunicji, zapasów wojennych i żywności.

— Zawczasie, zawczasie — mówił do swego przyjaciela przy krótkim wycieczku — nie myślałem nigdy, bym teraz właśnie miał taką niespodziankę. Trzy dni tylko czasu zostało. Swoje osobiste sprawy jużem zakończył. Ale z tą bronią, czy damy sobie radę? Dotąd nie kazałem nawet kos na sztorc przekuwać, by Rosjan nie alarmować, a teraz boję się, czy aby nadążą. I jak ja sam poradzę? Mianowali mnie majorem, ale co z tego majorstwa, gdy nie bardzo wiem, co robić? Umieję «ekspedite» regulamin kawalerii, czytało się coś niecoś o taktyce i strategii, ale niech mnie kule biją, jeśli wiem, co z tego wszystkiego wziąć do ataku na Radzyń. Widocznie czegoś nie doczytałem, czegoś się nie douczyłem. Tu byłby potrzebny jakiś podporucznik, ale rzeczywisty, nie taki mało-wany major. Pamiętaj, Teodorze, musisz być ciągle przy mnie, bym się mógł kogo poradzić.

— Nie, za nic! — odrzekł Jasiński — jesteś majorem i musisz dowodzić. Pójdę na oślep, gdzie zechcesz, lecz nie zajmę się niczym samodzielnie, bo wyobrażenia nie mam, jak sobie radzić w tym położeniu. Mogę odpowiadać tylko za siebie! Zresztą i regulaminu żadnego nie umiem i żadnej książki wojskowej nie czytałem. Ty musisz to umieć!

Biedny pan Deskur choć musiał, jednak czuł, że nie umie. Podejrzewał jakąś lukę w swym wykształceniu militarnym i prawdopodobnie by nie uwierzył, że dla napadu z garstką «kosynierów» i «drągalierów» na armaty i karabiny żadna książka wojskowa nie jest napisana i że każdy porucznik lub kapitan niemalowany, równie jak on, byłby zdany w tym wypadku na łaskę i niełaskę swoich zdolności i energii bez żadnego oparcia na nauce i regulaminach. Ba, czułby się gorzej, bo nie miałby tego oparcia, jakie miał pan Deskur w dokładnej znajomości otaczającego go radzyńskiego światka.

Lecz pan Deskur musiał, więc słał rozkazy, jak major rzeczywisty. Do Horostyty na 21-go rano niejaki Michałowski, kotlarz z profesji, szczerzy patriota i dzielny człowiek, mający wpływ duży w różankowskich dobrach hrabiego Zamoyckiego, miał przybyć z organizacją tameczną i bronią, ukrytą na wozach. Bronią tą były kosy, przez tegoż Michałowskiego

przygotowane, i kilkanaście strzelb myśliwskich, będących w posiadaniu zorganizowanej straży leśnej. Do teźże Horostyty miano ściągnąć i resztę broni z okolicy, gdyż stąd część jej trzeba było oddać i panu Krajewskiemu, wyznaczonemu do zaalarmowania załogi w Ostrowie. W Horostycie też oddział zabierał żywność na dni kilka, woreczki do kul i prochu, uszyte rękami kobiecej połowy zaludnienia dworu.

Lecz dzień jeden cały ta gromada przebyć musiała na miejscu, następnie dzień cały maszerować siedm mil drogi pod Radzyń. Okoliczność ta niepokoiła głęboko p. Deskura. — Czy też to ujdzie niepostrzeżenie, czy też przedwcześnie zamiar nie będzie odkryty i udaremiony?

Ale jak postąpić inaczej? Wyznaczyć od razu miejsce spotkania dla wszystkich pod Radzyniem? Niemożliwe; trzeba by wyznaczyć termin wcześniejszy, licząc na opóźnienie i powolne ściąganie się ludzi. Gotowi będą ludzie — broń się opóźni, gotowa broń — ludzie przyjdą później. I potem ten jarmark na drodze pod samym miastem może zaalarmować, zaniepokoić załogę, a tego właśnie za wszelką cenę uniknąć trzeba. Wyznaczyć punkt zborny gdzie bliżej Radzynia, u innego obywatela? Lecz nie ma takiego, któryby się nie wystraszył, nie robił wielkiej rzeczy z każdej drobnostki, kto wie, czyby nie zepsuł wszystkich przygotowań jakimś niepotrzebnym niepokojem lub alarmem. Niech już będzie Horostyta! Przynajmniej tu się nie rozgada, tu się zna każdego dokoła i wie się dokładnie, czego i od kogo wymagać można. Tu zresztą przygotowują się wszystkie zapasy na drogę, tu nikt narzekać nie będzie na uciążliwe kłopoty, wydatki i strachy.

— Oficerowie, należący do spisku, już są zawiadomieni o terminie, mają ściągnąć wszystkich oficerów na wspólną hultykę, tak, że armaty zostaną bez poważniejszej osłony, a żołnierze bez dowódców. Organizacja miejska w Radzynie ze swym naczelnikiem, Pyrkoszem, ma do ostatniej chwili mieć na uwadze wojsko i jego czynności, a na godzinę dziesiątą wieczór przyjść w umówione miejsce w okolicy miasta po broń i ostateczne rozkazy.

Tak, rozkazy wydane, wszystko już umówione, a jednak jakiś niepokój gryzie p. Bronisława, świeżego majora wojsk polskich. To nie tylko brak zaufania do własnych sił i umiejętności i strach przed umiejętnością fachową wroga. Owszem, to działa swoją drogą denerwująco i przypominanie wszystkich mądrości regulaminu kawalerii wraz z urywkami taktyki i strategii nie uspakają wcale. Lecz poza tym ten ogólny niepokój o to, czy wszystkie te szczegóły dopasują

się dobrze nawzajem w ostatniej chwili? Wszystkie atomy — broń i ludzie — z których przed samym napadem złoży się siła zbrojna p. Deskura, dziedzica Horostyty, wszystkie te atomy są dotąd i do ostatniego momentu nie w jego bezpośrednim rozporządzeniu, lecz mają życie samodzielne, niekontrolowane czujnym okiem dowódcy. Każdy atom z osobna chodzi luzem, a tych chwil luźnego życia jeszcze takie mnóstwo! Toż to chaos jakiś, niepodobny do uchwycenia przez żadną, choćby najżywszą, wyobraźnię! Każda chwila jest niepewna, w każdej chwili nieprzewidziany postępek, wprost nawet kaprys wroga wprowadzić może płataninę i zamieszanie do misternych obliczeń.

I, jakby dla potwierdzenia tych niepokojów p. Deskura, spada nań grom nieoczekiwany. Oto w nocy z 20-go na 21-szy, akurat przed terminem zbiórki przynajmniej części sił zbrojnych, przybiega ze stolicy miejscowej, z Radzynia, goniec. Jest nim p. Prądzyński, pomocnik naczelnika miasta. Przywozi on przykrą wiadomość, zasięgniętą od oficerów spiskowych, że żandarmeria miejscowa wybiera się z wizytą do Horostyty, że mają rozkaz aresztowania p. majora we własnej osobie. Grunt zaczynał palić się pod nogami!

W oczach biednego p. Deskura wszystko zawirowało; całe obliczenie stawało do góry nogami. Horostyta — punkt koncentracyjny — był już niepewnym, chwiejnym, jak i wszystko dokoła.

— Wysłać kontrrozkazy, odwołania? — niesposób! Przy tych przestrzeniach i całym systemie luzaków byłoby to ryzykowne; do jednych trafi się w porę, do innych, prawdopodobnie większości, za późno, gdy poprzedni rozkaz już będzie wykonywany. A zresztą nawet tam, gdzie jeszcze na czas się nadaży, muszą też nastąpić odwołania dalsze, nowe rozkazy, które ten bezmierny już chaos zawikłają w tak niesłychany sposób, że o rozplątaniu go i ułożeniu w porządku chybaby mowy być nie mogło.

Nie pozostało więc nic innego, jak «delożować» tylko samego siebie, usuwając się spod ręki władzy. Reszta pozostanie po staremu, zdwojone będą tylko ostrożności, aby koncentracja nie wpadła w oko żandarmom.

P. Bronisław prawdopodobnie miał w tej chwili jedną pociechę. Przyjaciel jego — p. Jasiński — choć umiał mniej jeszcze od niego, lecz tym razem musiał zastąpić wodza. Prawdopodobnie p. Jasińskiemu w jego naiwności ani przez głowę nie przeszło, że biorąc w tym wypadku w swe ręce ostateczne przygotowania do wyprawy, wypełnia czynność wojenną naj-

bardziej odpowiedzialną, najbardziej delikatną, czynność sztabowych oficerów, swą administracyjną pracą torujących drogę do zwycięstwa. Niechybnie złośliwa myśl o przyjacielu, bojącym się odpowiedzialności, a zmuszonym do niej, mogła być pociechą, lecz za to wątpliwość, niepewność, znaki zapytania co do samego przedsięwzięcia musiały wzrosnąć w myśli p. Deskura w trójnasób. Z ciężkim sercem wsiadał on o świcie na brykę, wyznaczwszy miejsce spotkania w lasku podmiejskim, na drodze z Wohynia do Radzyna. Na ganku dworku rzewnymi łzami płakała dziewczynka i czworo dzieci z wystraszonymi twarzyczkami tuliło się do jej sukni.

* * *

Ksiądz Nawrocki, proboszcz w Huszczy, śpieszył, drepając po błotnistej drodze zaścianka. Na twarzy miał rumieńce, oczy mu błyszczały, a chociaż zmuszał się do uważnego odmawiania modlitwy i myślenia o wzniosłych rzeczach niebieskich, jednak dnia tego nie mógł wymóc na sobie uwagi i skupienia. Pacierze mu się plątały, a oglądając znane sobie od dawna zabudowania zaścianka, mrucał pod nosem: «Pojutrze! Pojutrze!»

Szedł do starego Macieja, kolegi z drugiego pułku ułanów z r. 1831, którego ongi był kapelanem. Teraz miał mu zwiastować nową pobudkę, nową wojenkę.

— Hej, nie tak szło się ongiś na wroga! Jawnie, buńczucznie, ze śpiewem wesołym, brzękiem ostróg, furkaniem chorągiewek, w jaskrawych mundurach, na koniach, parszczących wesoło. Hej! Macieju, teraz na wojenkę wykradać się będziesz, jak złodziej, — jak zbój jaki, razić będziesz wroga z za węgła, z ukrycia. Pójdiesz, jak stoisz przy swej chacie, w siermiędze, a zamiast lancy i pałasza weźmiesz z sobą pracowitą kosę. Nie zagra ci do boju skoczna a dziarska muzyka, nie będziesz miał tego gwaru wojskowego dokoła, co cię za młodu cieszył i radował. Przekradać się teraz będziesz po lasach i błotach rodzimych, jak włóczęga bezdomny, a pieśnią twą będzie smutna, ponura, grobowa nuta tych pień żałobnych, co od lat paru w kościołach twej ziemi się rozlega.

Lecz bój jest bojem i serce prawego żołnierza rwie się doń, jak młodemu do miłej. Więc i Maciej, gdy od swego proboszcza i kapelana usłyszał, że już czas się gotować, nie myślał o dawnych rozkoszach bojowania, tylko wraz z księdzem jął deliberować o przygotowaniu rodzimego zaścianka do walki.

Mieli napaść na załogę w Łomazach; tam kwaterował drugi szwadron ułanów smoleńskich Jego Cesarskiej Wysokości następcy tronu.

— Na ułanów! — westchnął proboszcz, wspominając dawne ułańskie czasy.

— Psia mać, za przeproszeniem księdza jegomości, — obruszył się Maciej — takie i ułany! Nieboszczyk nasz rotmistrz na cztery wiatry rozpędziłby taki szwadron. Już to im się przyglądam ustawicznie. Pójdzie nam, jak z płatka, księżę dobrodzieju, ani to się pilnować umie, a wieczorem połowa pijana. Wyrzniemy, jak świnię, za przeproszeniem dobrodzieja, a tam taki szwadron sformujemy, że nieboszczyk pan rotmistrz w niebie się uraduje.

— Zanadtoś na krew łapczywy, — mitygował ksiądz — śpiących wyrzynać, nie żołnierza rzecz! Broń odebrać, konie, siodła pozabierać, a tych biedaków puszczać wolno, taki nakaz z Warszawy. Jakoby i oni będą się buntować przeciw rządowi. Słyszę, wśród Rosjan wielu jest takich, co nam sprzyjają.

Maciej z argumentami tymi nie zgadzał się i z zaciętej mazurskiej twarzy widać było, że krwi ani swojej, ani wroga nie będzie szczędził pomimo łagodnej perswazji księdza. Nie był on zdatny do stosowania sprzecznej w swej zasadzie formuły łagodnej surowości, jaką ze swej strony rewolucja chciała się kierować w stosunku do wojska.

Zaczęła się długa narada o sposobach podejścia wroga, ukrycia pierwszych kroków przygotowawczych. Brano w rachubę każdy krzaczek, każdy domek po drodze lub w miasteczku. Maciej się gorączkował, chciał iść wprost, jak ongiś na szarżę, impetem; ksiądz mitygował, doradzał ostrożność, dorzucał uwagi, świadczące zarówno o doskonałym znawstwie terenu, jak i rozumieniu życia żołnierskiego i działań wojennych.

We wszystkim szybka następowała zgoda; Maciej poważnie poddawał się argumentom księdza. Jedna tylko kwestia wzbudziła dłuższy spór. Szło o to, czy zaraz w zaścianku rozpocząć przygotowania, czy czekać jeszcze dnia następnego. Maciej dowodził, że zaraz trzeba skrzyknąć ludzi — od dawna przecie są już spisani — przysięgli i są gotowi. Kazać przekuć kosa, sposobić odzież i obuwie, gotować zapas żywności. Twierdził ze słusnością, że zwłoka odbije się na gotowości, że się nie nadaży potem, że ludzie muszą przecie i pozalać swą sprawę domową, i pożegnać się z rodziną, i pogodzić się z Bogiem, odbyć spowiedź świętą. Na to wszystko dnia nie

wystarczy. Ksiądz upierał się, by na razie zachować w tajemnicy termin wybuchu, spuścić się z sekretu tylko najzaufanyszemu, a nazajutrz otoczyć zaścianek strażą z młodszych, by nikt z obcych i niepowołanych nie zastał szlachty przy dziwnej, niepokojącej robocie. Specjalnie obawiał się paru pijanic zaściankowych, którzy w karczmie rozgadać mogą przed Żydem, a ten mógłby o tym donieść władzy. Maciej na te argumenty doradzał wprowadzenie od razu nieledwie stanu wojennego, chciał Żyda z rodziną i ludzi niepewnych zamknąć pod straż i gospodarzyć w zaścianku śmiało.

Długo trwał spór, lecz wreszcie Maciej i w tej sprawie ustąpił. Ustąpił nie dla słuszności argumentów proboszcza, lecz dla jego powagi kapelana ułańskiego. Narady się skończyły.

Nazajutrz w zaścianku, otoczonym czujnymi strażami, wrzała praca. W kuźni na gwałt spajano kosy, w chatach baby, ocierając łzy fartuchem, piekły, gotowały i szyły, w kościele przy konfesjonalach tłumy młodych chłopców odbywały krótką, żołnierską spowiedź, po wsi całej urządzano uroczyste żegnania i błogosławieństwa. A w samych Łosicach aż do wieczora kręcili się starzy Huszczowie, wysłani przez Macieja i proboszcza na przespiegi, na pilnowanie wszelkich ruchów ułanów i ich dowódcy, którzy ani się spodziewali, jaka burza spadnie na nich tej nocy. Wieczorem zaległa w zaścianku niezwykła cisza. Tylko po chatach cicho i skrycie płakały młode i stare kobiety, tylko starzy dziadusi — wojscy nowocześni — próbowali łagodzić smutek zrządzeniem; wszystko, co było silnym, zdrowym, wzięwszy w tęgie, spracowane garście kosy i zatknąwszy za pas na siermiędze siekiery, wymknęło się cichaczem ze wsi pod wodzą Macieja. Proboszcz, już teraz kapelan i doradca techniczny wodza, ruszył też w pole. Zaścianek Huszcza ruszył na wojnę. Z sąsiednich zaścianków — Wiski i Tuczna — tak samo wyprowadził młodzież na Kodeń stary Nencki, wysłany ongiś w żołdacy na Kaukaz i obdarzony tam szewronami podoficerskimi.

*

*

*

Na plebanii w Białej u proboszcza księdza Mleczi w bocznym pokoiku od paru miesięcy rozgospodarował się młody, nieznaný dotąd nikomu młodzieniec. Proboszcz przedstawiał go, jako swego siostrzeńca, lecz dziwny był stosunek pomiędzy wujem a siostrzeńcem. Jeżeli szło o szacunek i poważanie, to korzystał z nich właśnie siostrzeniec, który w rozmo-

wach używał tonu nakazującego i mówił do otoczenia, jak przełożony do podwładnych. Od czasu jego zamieszkania do niepoznania zmienił się tryb życia na plebanii. Drzwi się nie zamykały prawie; w pokoju siostrzeńca odbywały się ciche narady i szept, do których niezawsze był dopuszczany sam gospodarz domu. Młodzieniec często uciekał na całe tygodnie, do proboszcza zaś zgłaszali się coraz częściej ludzie z odległych okolic. Była to główna kwatera rewolucyjna, z początku na całe województwo Podlasia, a potem na obszerny powiat bialski. Młodzieńcem zaś był młody Roman Rogiński, dawny komisarz pełnomocny Komitetu Centralnego na województwo, a teraz naczelnik powiatu.

Od czasu ostatniego powrotu z Warszawy i Siedlec, od 19 stycznia, nerwowo Rogiński nie miał odpoczynku. Wszędzie go było pełno, podwoił, potroił swe usiłowania, by jego дума, Biała z okolicą, wysunęła się na jedno z pierwszych miejsc w Polsce podczas napadów w nocy 22 stycznia. Był prawie pewien powodzenia. Wojsko pod komendą gen. Mama-jewa nie spodziewało się niczego; i ślepy by to spostrzegł. Przed chwilą właśnie umówił się Rogiński z komendantem baterii, Suchodolskim, i jego subalternem, Zalewskim, co do szczegółów napadu. Na alarm nie wyjdą wcale z mieszkania, pozwalając spiskowym kanonierom gospodarzyć, jak chcą, w baterii, ci zaś strzałami mają nastraszyć konie, tak, by nie zdołano dział zaprząć i by zamieszanie, w ten sposób wywołane, ułatwiło zdobycie armat. W okolicę już gońce rozesłani. Od Janowa podlaskiego ma przybyć 400, tych przyprowadzi ksiądz Rozwadowski, proboszcz z Niemirowa; z Zalesia pod Bogusławskim stanie stu ludzi, spod Łosic, z jednego z zaścianków nauczyciel ludowy, Wolanin, ściągnie z 300 szlachty. To wszystko zaś jest tylko pomocą, rezerwą. Grunt to mieszczanie bialscy, spiskowi, zaprzysiężeni każdy osobno, nie tłum nieobliczalny. Dwustu ich stanie, dzielnych zuchów rzemieślników, chłopów na schwał, zdolnych i do tańca, i do różańca, jak to mówią; rzemieślnicy, to dusza spisku w Polsce. Dwudziestu razem z Rogińskim wpadnie do kwatery wodza sił wrogich, reszta, podzielona odpowiednio, uderzy na koszary baterii za miastem, na sotnię kozaków, wreszcie na kompanię piechoty. Wszystko obliczone, wszystko ułożone. Nie! Chyba nie może się nie udać!

Rogiński w duszy nawet się cieszył, że nie zastał Mrocza, oficera od saperów, wyznaczonego do komendy w tym napadzie. Wysłano go nagle do Kazania, hen, daleko nad Wołgę. Komitet Centralny liczył, że tam powstanie bunt chłopów ro-

syjskich, jak ongi za dawnych czasów Katarzyny wybuchł bunt Pugaczewa. Komitet tym łacniej temu dawał wiarę, że go w tym kierunku zachęcano gorąco ze strony najbardziej kompetentnej: ze strony wodzów duchowych rewolucji rosyjskiej, Hercena i Bakunina, którzy potężny wpływ wywierali na spiskowych oficerów rosyjskich w Polsce. Bez tego fachowca, któremu z konieczności komendy ustąpićby trzeba, cały talent wojenny Rogińskiego — a weń z pewną słuszością wierzył święcie p. naczelnik powiatu — zajaśnieć może w pełni. Uczeń szkoły wojskowej polskiej, szkoły rewolucyjnej, pokaże, co umie!

I nagle w maszynie, nakręconej tak dowcipnie przez młodego wodza, coś się psuć zaczęło. Właśnie, odpoczywając chwilkę, marzył on o dalszym rozwoju działań po zwycięstwie w Białej, gdy do drzwi ktoś cicho zapukał w umówiony sposób.

— Proszę! — obudził się z marzeń Rogiński.

Do pokoju wsunął się młody, dwudziestoparoletni rzeźmieśnik z przekrzywioną od zgrozy twarzą i, nie zapomniawszy przyjąć wobec naczelnika postawy odpowiedniej, jednym tchem zaraportował:

— Panie naczelniku! Nieszczęście! Księża reformacji rozgrzeszenia nie dają!

— Co pleciesz?! — zerwał się Rogiński. — Jakiego rozgrzeszenia?

Rzecz się wyjaśniła szybko. Stu kilkudziesięciu ludzi przed wyjściem do boju poszło do spowiedzi księży reformatorów. Lecz tu nie poszło tak gładko, jak u kapelana drugiego pułku ułanów polskich w Huszczy. Zakonnicy przestraszyli się, że ich posądzą o współdziałanie w napadzie i przy konfesjonałach jęli odmawiać swych penitentów od ryzykownego kroku, nie dając nawet rozgrzeszenia pod pozorem znajdowania się w stanie grzechu przeciw przykazaniu: nie zabijaj. Tłum skupiał się w kościele, zmieszany, zdemoralizowany, niepewny przedsięwzięcia. Więc zapaleńsi posłali po naczelnika.

Rogińskiemu, raptusowi z natury, zaiskrzyły się oczy. Narzucił kożuszek, schwycił czapkę i pędem ruszył do kościoła. Ręce mu dygotały, w kieszeni zaciskał nerwowo rewolwer.

— Zabiję, zamorduję, z dymem puszczę! — przelatywało mu przez głowę.

Wreszcie dopadł do kościoła. Tłum ochotników powstańczych z uszanowaniem się rozstępował, dając przejście naczelnikowi. Już nie przy konfesjonałach, lecz w środku kościoła odbywała się dysputa. Z jednej strony zakonnicy z obu-

rzeniem odpychali penitentów, z drugiej młodzież, jedni zapalczywie, inni na klęczkach, błagali lub nastawali gwałtownie, żądając spowiedzi i rozgrzeszenia. Na to właśnie wpadł Rogiński. Ognście, chociaż niezbyt wymownie, zaczął zarzucać ojcom, że popełniają zbrodnię narodową, że gdyby szło o spowiedź żołnierza w służbie rosyjskiej, żołnierza, idącego wyrzucić własnych braci, toby mu rozgrzeszenie dali, a tutaj nie czynią tego jedynie z nędznego tchórzostwa. Wreszcie, coraz bardziej się rozgrzewając własnymi słowami, krzyknął:

— Żywcem tu was spalę! Z dymem puszcę klasztor, jeśli nie ustąpicie i nie wypełnicie obowiązku!

Musiała być w tej groźbie siła i jakaś prawda, bo księży cofnęli się i spowiadanie rozpoczęli.

Rozdrażniony Rogiński po chwili wrócił do domu. Nie miał już poprzedniego spokoju i pewności siebie, czuł, że część, może i znaczna część mieszczan ulegnie nastrojowi, wywołanemu przez księży reformatów, a naprawiać szkody już nie miał czasu, za kilka bowiem godzin należało stanąć do boju. Nie wiedział jednak, że już spadło nań nowe, kto wie, czy nie większe nieszczęście, które już w niwecz obróciło wszystkie jego rachuby.

Kapitan Suchodolski, dowódca konnej baterii nr 3, od kilku godzin siedział w swym mieszkaniu w ciężkiej zadumie. Należał on do kółek oficerskich rewolucyjnych, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, ot tak, dla mody, która opanowała inteligencję owego czasu, gdy być ugodowcem było to samo, co nosić żaboty, pończochy lub trzewiki ze sprzączkami. Rewolucja była hen, gdzieś daleko, jakaś nie-realna, nie wkładająca żadnych obowiązków, a tym czasem przy spotkaniach z kolegami było tak miło drwiąco odezwać się o władzy, skrzywić się na wzmiankę o cesarzu, gorąco krytykować możnych tego świata, przed którymi było się takim maluczkiem w życiu.

A oto przyszły realne obowiązki rewolucyjne. Jeżeli dotąd przymykał tylko oczy na szerzenie się spisku wśród żołnierzy swej baterii, to przecie widział to wszędzie naokoło. Czynił to cały rząd w swej łagodnej surowości, w swej ustepliwości przed rewolucją.

Ale teraz trzeba było przejść przez Rubikon¹⁾. Trzeba było zamknąć oczy na opanowanie przez powstańców baterii, za

¹⁾ Rubikon — mała rzeczka, wpadająca do Adriatyku, na granicy starożytnej Galii Cisalpińskiej. Cezar, przekraczając Rubikon, rozpoczął decydującą wojnę z Pompejuszem i senatem rzymskim. Stąd «przejść Rubikon» — powzięć decyzję.

którą jest odpowiedzialny, trzeba było zamknąć oczy na rzeź swoich żołnierzy.

— A co będzie, gdy wojsko napad odeprze, a on jutro będzie musiał stanąć przed oczami komendanta, generała Mamajewa, i odpowiadać za niestawienie się podczas alarmu, za niespełnienie najkardynalniejszego obowiązku żołnierza?

Sąd wojenny, scena rozstrzelania mignęły mu w oczach.

— Brr!... Więc co? Czy można temu przeszkodzić? Przekonać Rogińskiego o niedorzeczności napadu?

— Ależ to niepodobieństwo, ten zapaleniec gotów go zabić, usunąć z drogi! Zresztą przekonać się nie da!

— Uprzedzić Mamajewa?

Wzdrygnął się narazie. Czarna to zdrada, wydanie na rzeź już nie swych żołnierzy, lecz kolegów ze spisku!

Rumieńcem wstydu spłonął narazie.

Lecz jest to właściwie jego obowiązkiem żołnierskim, tak mu nakazuje przysięga, którą składał po przyjęciu szlif oficerskich. Zresztą nikt o tym wiedzieć nie będzie. Pójdzie do Mamajewa, uprzedzi go o napadzie, wojsko stanie w pogotowiu, powstańcy nie ośmielą się napaść. Mamajewa zaś samego przekona o konieczności możliwie pokojowego załatwienia sprawy. Przecież znaną jest rzeczą, że namiestnik, wielki książę, mający duży wpływ na cesarza, jest stronnikiem łagodności rządów, stronnikiem reform liberalnych, główną podporą partii reformy i opiekunem urzędników, skompromitowanych za swe zbyt radykalne poglądy. Tak będzie i wilk syt, i koza cała. Jeżeli rewolucja ma w istocie siłę, to brak powodzenia w jakimś jednym miasteczku nie wpłynie na wypadki, a jutro, pojutrze najdalej będzie to widoczne.

Jeszcze chwilka wahania — wreszcie pan kapitan drżącymi rękami przypasał szablę i, korzystając z wczesnego styczniowego zmierzchu, by nie być dostrzeżonym, wymknął się chyłkiem na ulicę. Za chwilę Mamajew przestrzeżony kazał uderzyć na alarm. Wszelkie plany Rogińskiego prysły, jak bańka mydlana!

*

*

*

Takich dworów, jak dwór pana Deskura, takich chat, jak chata Macieja w Huszczy, plebanij, jak dom księdza Nawrockiego, miasteczek, jak Biała, i ciężkich tragedyj, jak los kapitana Suchodolskiego — było mnóstwo w dni owe w naszym kraju. Te same kłopoty, te same rozkazy i przeciwroz-

kazy, te same wahania i wątpliwości. Wszędzie to samo zmaganie się z okropnymi trudnościami wytworzenia z chaosu, a więc z niczego, jawnej, zorganizowanej siły zbrojnej. Przygotowania techniczne były zaniedbane już to dla braku środków, już to dla względów konspiracyjnych, dla uniknięcia rozgłosu i przedwczesnego wystawiania tych przygotowań na ciosy wroga, już to z przyczyn politycznych. Nie chciano dolewać oliwy do ognia i doprowadzić do wybuchów lokalnych, niezwiązanych z sobą w jakiś system. I teraz brak tej pracy, poprzedzającej wojnę, mścił się na każdym kroku, w każdej drobnostce. Tarcie przygotowań wojennych olbrzymiało, wywołane pośpiechem w sposób nieoczekiwany, zmniejszając niechybnie zarówno liczebność sił, jak i wartość ich techniczną. Tysiące małały do setek, setki topniały w dziesiątki, dziesiątki znikwały, rozwiewały się w mgłę nieuchwytną. A brak czasu — gdzie niegdzie rozkaz chwytania za broń przychodził na 12 godzin przed terminem wybuchu — potęgował grozę położenia, powodował rozpaczliwe szamotanie się w sieciach niemożliwości, wywoływał gorycz, brak wiary w powodzenie. W takich chwilach ludzie szukają oparcia moralnego. Jedy-
nym tym oparciem była Warszawa, był Komitet Centralny, widoma głowa ruchu.

To też jeden goniec za drugim pędził do stolicy z zapytaniami, wątpliwościami, z żądaniami. Pierwsi gońcy byli zwiastunami zdziwienia i przerażenia, które sam rozkaz wywołał. Zewsząd — z Podlasia, z Lubelskiego, z Kaliskiego, z północy i południa, ze wschodu i zachodu — słano zapytania: czy być może? Z czym pójdziemy? Nieleddie: czyście oszaleli?!

W Warszawie, jako zastępcy Rządu Tymczasowego, zostali trzej ludzie: Stefan Bobrowski, Władysław Daniłowski i Witold Marczewski: pierwsi dwaj młodzi, dwudziestokilkolenni akademicy, ostatni trochę starszy, inżynier kolejowy. Bobrowski, który rozumem, wolą i energią trójcy tej przewodził, odprawiał tych pierwszych gońców na razie łagodnym, lecz stanowczym słowem, potem ze złością i wzruszeniem ramion. Pamiętał, że ci sami ludzie, którzy teraz niepokoił się i okazywali brak stanowczości, niedawno jeszcze argumentowali inaczej. Nie tylko zachęcali, lecz wprost wymagali, groźnie żądali wybuchu. Pamiętał, że wtedy w rozpacz, rozgoryczony brakiem zaufania, a przeświadczony o niemożliwości żądań, zdobył się na propozycję, by gremialnie z całym składem Komitetu Centralnego oddać się w ręce wroga. A teraz ci

sami, ludzie tłumu bez pamięci, nastrojowcy, gdy wybiła godzina, ślą mu słowa mądrości, przezorności i... lęku. Wzruszył ramionami.

Lecz później przyszli gońce ze sprawami technicznymi, z zapytaniami, które czuć było prochem, w których dojrzyć było można organizację wojenną, manewr bitewny. Tu bezradnie opuszczały się ręce wodzów narodu; żaden z nich najmniejszego o tym nie miał pojęcia; żaden nawet nie miał takiego odczucia luk w swym wykształceniu wojennym, jakie miał pan dziedzic z Horostyty.

Jeszcze gdy szło o pomoc materialną — parę groszy, kilka kozuchów, trochę prochu czy ołowiu — jeszcze w tych wypadkach energia i stosunki Rządu wystarczały. Lecz gdy miała być dana rada wojenna, wskazówka techniczna, gdy trzeba było uspokoić sumienia świeżych majorów i kapitanów, dodać im pewności siebie, gdy, słowem, szło o kierownictwo wojenne, o myśl przewodnią działań, brakło nie sił i energii, nie woli i serca, lecz głowy i zrozumienia rzeczy. W poczuciu więc własnej niemocy, w bezpłodnym wysiłku mózgow i nerwów malała wola, znikła stanowczość i decyzja. Impulsy z centrum życia rewolucyjnego były coraz słabsze i bledsze. Wkońcu w głównej kwaterze zwątpiono, czy w ogóle cokolwiek będzie, czy w ogóle rozkazy w jakikolwiek sposób będą wykonane i czy noc 22 stycznia, zamiast być Polski momentem dziejowym, nie będzie śmiesznością, przedmiotem dowcipów i drwin pokoleń następných.

W posępnej trwodze oczekiwano wyniku, w trwodze tem większej, że tu na miejscu, w stolicy i sercu ruchu rewolucyjnego, wyglądało wszystko po dawnemu, bo w ogóle przygotowań nie poczyniono. Warszawa, promotor wojny, Warszawa, która dała do niej hasło, która wymusiła na Komitecie Centralnym ogłoszenie powstania, Warszawa wreszcie, najdotkliwszy, najbardziej cenny dla wroga punkt w całym kraju, — Warszawa zepchnęła cały ciężar wojny na drobne miasta, miasteczka, wsie nawet; sama niczem nie miała zadokumentować swej siły rewolucyjnej.

Tu, gdzie pracował mózg organizmu wojennego wroga, sztaby wojenne i kierownicy polityki nieprzyjaciela, gorący oddech walki bezpośredniej nie miał mu zamącić spokoju pracy, nie miał osłabić decyzji i woli. Błąd ten, błąd fatalny dla ogółu operacyj, nie był jednak w ten właśnie sposób odczuwany przez młodych przedstawicieli Rządu. Gnębiła ich bardziej bezczynność wojenna, czuli się upokorzeni, że nie są w szeregach walczących, tam, w drobnych miastach i mia-

steczkach. Po głowach snuły im się plany równie ryzykowne, jak sama rewolucja.

Więc Bobrowski rzucał się, by porwać brata cesarskiego, wielkorządcę Polski, Konstantego. Kilkunastu śmiazków, upatrzwszy odpowiednią chwilę, rozpedzi konwojujących kozaków i wielkiego księcia szybko wywiezie do lasów okolicznych. Bobrowskiemu, rozkochanemu w swym wodzu, wydawało się, że posiadanie w obozie tak cennego zakładnika od razu wyniesie Zygmunta Padlewskiego na czoło powstania, od razu uczyni go ogniskiem, koło którego skupią się wypadki rewolucyjne.

Daniłowski znowu przypomniał dawne plany Jarosława Dąbrowskiego, wówczas zamkniętego już w murach cytadeli. Twierdził, że trzeba rozbiec się po mieście niewielkimi grupami, wpadać do mieszkań dygnitarzy wojskowych i cywilnych, zabijać ich, wprowadzać dezorganizację. Wszystko to było ogólne, mgliste, nieprzemyślane. Wszystko nie stało w żadnym związku, zrozumiałym choćby tylko dla autorów tego czy innego planu, z ogółem rozwijających się wypadków. Wreszcie ta trójca rządowa tak była zarzucona szczegółami i szczegółikami rozpoczynającego się już gdzie indziej życia wojennego, że mowy być nie mogło, aby się jeszcze na coś samodzielnego zdobyła. Warszawie sądzonem było milczeć tym razem, poprzestając na niesieniu pomocy powstającej prowincji.

W rosyjskiej kwaterze głównej nie oczekiwano wcale nadchodzących wypadków. Władze cywilne ludziły się nadzieją, żywiły nawet pewność, że po wyłapaniu najgorętszych i usunięciu najbardziej zapalnej młodzieży do szeregów wojskowych w głębi Rosji wszystko się uspokoi. Liczono na bezsilność ruchu rewolucyjnego, groźnego, co prawda, w słowach, lecz skrępowanego warunkami tajnej organizacji. Władze wojskowe szemrały, sądząc, że wojsko jest niezabezpieczone, a używane raz po raz do robót policyjnych, rozprasza się coraz bardziej po kraju. Lecz szemrania były ciche, nie odważono się na żaden śmielszy krok w sporze z władzą cywilną, ta bowiem miała poparcie u wielkiego księcia Konstantego. Jeżeli noc 22 stycznia zastała Polaków nieprzygotowanych do niej technicznie i organizacyjnie, jeśli wypadki postawiły przed Polakami nadzwyczaj trudne zadanie nagłego zaimprowizowania siły zbrojnej bez jakiegokolwiek przyzwyczajenia do niej, to Rosjan zaskoczyła ona psychicznie. Organizacja i technika były u nich gotowe, jak w każdej regularnej armii, co prawda, osłabione rozproszeniem

armii po kraju, lecz duchowo wojsko do wojny się nie gotowało, w stanie wojny się nie znajdowało i wszystkie korzyści inicjatywy działań i niespodzianki przypadały Polakom, jakby dla częściowego przynajmniej wyrównania szans boju.

*
* *

Na olbrzymim placu bitwy — a takim placem nocy 22 stycznia miała być cała Kongresówka — stali naprzeciw siebie dwaj przeciwnicy. Jednym była rozproszona na drobne oddziały i jeszcze dyplomatyująca armia rosyjska, silna swą techniką i organizacją. Drugim były koncentrujące się w ostatniej chwili z luźnych atomów oddziały polskie, lichy uzbrojone, a liczące na niespodziany nocny napad w połączeniu z pomocą, której spiskowi sojusznicy mieli udzielić od wewnątrz obozu nieprzyjacielskiego.

Największe natężenie ruchu powstańczego istniało w Płockim, na Podlasiu i Sandomierskim. Reszta kraju albo, jak Lubelskie, nie miała wodzów, albo też brakło jej dostatecznej ilości dostatecznie podnieconych żołnierzy, jak było na całym zachodzie: w Kaliskim, Krakowskim, a w wielkim stopniu i na Mazowszu. W tej części placu boju co najwyżej liczyć było można na drobne, nieznaczące i nie mogące wpłynąć na losy boju utarczki. Główne uderzenie musiało nastąpić tam, gdzie się ześrodkowały główne, chociaż jeszcze rozproszone, siły spisku, to jest na całym wschodzie.

W Płockim, na Podlasiu, w Sandomierskim wreszcie, półkolem otaczając serce ruchu i stolicę kraju, miał wybuchnąć bój — walka zdradliwa i rozpaczna, jaką zawsze jest starcie powstającego ludu z «prawnie» istniejącą władzą, opartą o całą potęgę techniki wojskowej, jaką posiada każde państwo. Kosy miały się zderzyć z bagnietami i karabinami, myśliwskie strzelby miały sprostać armatom. Pomocą zaś w nierównej walce miała być noc ciemna, niespodzianka, wreszcie zdrada w obozie nieprzyjacielskim — ułatwienie napadu przez spiskowych oficerów w armii rosyjskiej.

Czy dlatego, że energiczniej szła przygotowawcza praca na Podlasiu, czy że silniejszymi okazały się tam charaktery, właśnie w tej części kraju bój wypadł najkrwawszy. Brak czasu i broni, przeciwdziałanie przeciwników powstania wśród Polaków i tu, jak wszędzie, przeszkodziły w wielu miejscach części spiskowych wyruszyć w pole. Niektóre więc planowane napady zawiodły najzupełniej, czy to z braku dowódców lub żołnierzy, którzy zgodnie z prawami wojska ochotni-

czego zostali w domu. Zamiast sześciu tysięcy, które miano wystawić przeciw sile wroga, wyższej liczebnie, zaopatrzonej w artylerię, zaledwie 1500 ludzi stanęło do rzeczywistego boju.

Tysiąc pięćset ludzi, zebranych w ostatniej chwili, więc niespojonych organizacją wojskową, ludzi, którzy najczęściej broni w rękę nigdy nie mieli! Trzeba było szaleństwa decyzji rewolucyjnej, by w tych warunkach bój rozpoczynać. Trzeba było naiwnej w duszach wiary, rozwijanej i potęgowanej przez długotrwały okres wrzenia rewolucyjnego, podczas którego wszystko, co jest władzą, powoli w proch się rozkładało, przestając otoczenie zmuszać do posłuszeństwa już to swą powagą, już to postrachem kary. Trzeba było tej ogromnej przemocy moralnej, z jaką każdy ruch rewolucyjny występuje w stosunku do swych zwolenników, a nawet do przeciwników swych dążeń. W chwili wybuchu, gdy technika i sprawność wojenna nie wypowiedziały swego słowa, wyraźnego aż do brutalności, powstającemu ludowi w całej rozciągłości sekunduje jeszcze ta siła, która w okresie przedwybuchowym w ścieraniu się ze stroną przeciwną święciła same prawie triumfy, zmuszając wroga do cofania się przed nią — sekunduje mu siła moralna. Jeszcze w chwili samego wybuchu odnosi ona dziwaczne nieraz zwycięstwa!

Oto na skrajnym wschodzie placu boju nastąpiło spotkanie dwóch przeciwników. Jeden z nich to generał Mamajew, komendant garnizonu w Białej. Uprzedzony, jak widzieliśmy, przez zdradę jednego ze spiskowych oficerów, kazał uderzyć na alarm i zaraz po dziewiątej wieczór wytoczył na rynek miasta wszystkie swe siły. Więc ośm dział odprzodkowanych, gotowych do strzału, stanęło pośrodku. Osloniła je ze skrzydeł kompania piechoty, a dokoła, jako flankierzy i wywiadowcy, rozsypali się kozacy. W ciemnościach wilgotnej, dżdżystej nocy styczniowej zabłyśły ognie, suto wpośród rynku rozpalone. O nagłym, niespodziewanym zawładnięciu armatami, o zniesieniu siły rosyjskiej podstępny napadem nocnym mowy być nie mogło. Wstępny bój toczonym być musiał otwarciem — jawnie trzeba było pokazać, czy kosy, dragi, siekiery, a w najlepszym razie śrutem nabite rusznice są zdolne do pojedynku z działami i gwintowanymi karabinami, z całą techniką wojska, w swym przepychu i dumie ześrodkowaną na rynku małego miasteczka.

Naprzeciw, u wylotu jednej z ulic na rynek, zaczęła się zbierać gromadka powstańców pod dowództwem młodego Rogińskiego, którego śmiałe zamiary wniwecz się obróciły. Spiskowi białscy ściągali się powoli i leniwie. Zdemoralizowani

przez kontragitację księży reformatów, przestraszeni widoczną przemocą wroga, przygotowanego do odparcia napaści, rzemieślnicy bialscy haniebnie dezertowali z szeregów spiskowych. Do godziny jedenastej wieczór zebrało się zaledwie sześćdziesiąt kilku ludzi, którym rozdano kosy, siedm dubeltówek i cztery pojedynki myśliwskie. Kilkunastu żołnierzy Polaków z baterii nieprzyjacielskiej otwarcie wyszło z szeregów, by stanąć z bronią — pałaszami — po stronie powstania. I ta drobna garstka, wyglądająca na wyprawę myśliwską, wracającą z obławy na leśnego zwierza, przez parę godzin w trwożnym napięciu nerwów stała o paręset kroków naprzeciw oddziału z trzech rodzajów broni, gotowego do boju. Jedno poruszenie, jedno nieznaczne pokręcenie korby u gotowej maszyny wojskowej wystarczało do zgniecenia śmialków! A jednak tylko ponure milczenie zalegało na rynku, milczenie, które zalegać musi duszę małego zwierzaka, zahipnotyzowanego przemocnym spojrzaniem boa-dusiciela.

Jednak zdolnym do ruchu w tym wypadku okazał się nie boa-dusiciel! Rogiński z samego rynku pchnął posłańców-pocztarków, którzy z odgłosem trąbki pocztowej rozbiegli się w różne strony, jako adiutanci, pędzący do sąsiednich oddziałów z prośbą o pomoc. I znowu minuty za minutami, kwadransy za kwadransami mijały w śmiertelnym oczekiwaniu. Wreszcie o pierwszej w nocy Rogiński znowu na ruch się zdobywa.

Tym razem postanawia ustąpić z placu, lecz ze śmiałością ostatecznej determinacji kazał swej garstce niejako defilować przed siłą nieprzyjacielską — przejść na ukos rynek, by zniknąć w innej ulicy, prowadzącej w stronę Janowa, skąd najszybciej nadciągnąć mogła pomoc. Więc naprzód poszli dezertrzy-kanonierzy z kosą w rękę, w końcu, przykrywając marsz, jedenastu strzelców z Rogińskim, uzbrojonym w rewolwer, na czele. «Była taka cisza — pisze Rogiński, — że słyhać było tylko szmer równo posuwających się kroków i nieomal bicie serca każdego».

Rynek przebyli szczęśliwie i wówczas dopiero Mamajew puścił w pogoń kozaków, których odstraszonego paru strzałami.

Któż więc w tym bezkrwawym zmaganiu się sił był hipnotyzerem? Czy beczynna i bezwładna w swej masie zbrojnej siła rosyjska, jako wojsko — zdemoralizowana zdradą oficerów i żołnierzy, czy garstka prawie bezbronych straceńców, spokojnie defilujących przed najeżonym bagnetami frontem wroga?

Dopiero o milę od Białej Rogiński spotkał nadciągające

opóźnione oddziały księdza Rozwadowskiego i Wolanina, liczące razem trzystu ludzi.

Mamajew zaś wystraszony tą bezkrwawą bitwą, słał gońców jednego za drugim, by ściągnąć do Białej większe siły, jakgdyby mu nie wystarczyły dotychczasowe. W kilka dni potem Rosjanie opuścili Białą, wycofując wojsko do Siedlec i sąsiedniej fortecy — Brześcia.

Nie wszędzie jednak na Podlasiu bój był tylko zmaganiem sił moralnych. Gdzie tylko czynnik niespodzianki mógł być wyzyskanym należycie, bój był przeprowadzony nieraz z rozpaczłą energią.

Więc w Kodniu Nencki z furią wpadł na paruset żołnierzy, stanowiących załogę miasteczka i będących obsługą parku artyleryjskiego. W jednej chwili rozprężone i rozproszone siły rosyjskie w bezładnym popłochu opuściły miasteczko, oddając na łup zwycięzcom niewielki skład broni i naboju. Kilkunastu żołnierzy z oficerem, wziętych do niewoli, świadczyło o zupełnym zwycięstwie.

Więc w Łomazach znany nam zaścianek szlachecki Huszcza tak samo zniecka wpadł na szwadron ułanów, rozbił go w puch, zabrawszy ryszczunek i wielką ilość koni.

Wreszcie w Łukowie ksiądz Brzózka, który z czasem miał się wslawić, jako ostatni partyzant Polski, nie schodzący z pola walki jeszcze na wiosnę 1865 r., nagłym napadem wyrugował z miasta dwie kompanie piechoty, zabrawszy sporą ilość broni.

gorzej poszło w samych Siedlcach i Radzynie, gdzie bitwy były najkrwawsze i gdzie po krótkim starciu plac boju został przy Rosjanach.

W Siedlcach przewodził Polakom wódz Podlasia, pułkownik Lewandowski. Jak wszędzie, tak i tutaj, poprzednie oblężenia zawiodły. Większość ochotników nie stanęła do apelu, już to z przyczyn usprawiedliwionych, jak najrozmaitszych przeszkód technicznych, już to ulegając moralnej depresji w ostatniej chwili. Przy najpesymistyczniejszym obliczeniu sądzono, że stawi się najmniej tysiąc ludzi; w rzeczywistości stawiło się koło trzystu, zaledwie trzecia część tego, na co liczyli pesymiści. Świeży żołnierz, licho uzbrojony, niepewny w swych poruszeniach, po raz pierwszy zobaczył swego naczelnika w nocy przed samym bojem. Nawet zewnętrzna jego postać nie mogła być dokładnie rozeznana, a Lewandowski sam, spostrzegłszy wahanie się ludzi, nie zdecydował się uderzyć na silną załogę siedlecką. Cofnął się więc o pół mili, by znieść kompanię, osobno stojącą w Stoku Lackim, tym bar-

dziej, że tu właśnie ześrodkowane były składy 19-go pułku kostromskiego, podówczas rozsypanego drobnymi załogami po kraju.

Pierwszym nagłym uderzeniem Polacy opanowali składy i odrzucili kompanię do wsi, gdzie żołnierze, instynktem samym prowadzeni, roztarasowali się po chałupach, odstrzelując się napastnikom. Ciemna noc, obok niedostatecznej organizacji wewnętrznej i spoistości świeżego wojska polskiego, nie dały możliwości przeprowadzenia z powodzeniem trudnego względnie zadania stopniowego wyparowania żołnierzy rosyjskich z osiedli. Powstańcy stanowili bezładną kupę ludzi, z którą złożonego manewru niesposób było wykonać. Poprzestano więc na utrzymywaniu gęstego ognia ze strzelb i zdobytych karabinów i z najbliższej tylko podpalonej chałupy zdołano wyrzucić obrońców wioski. Oczekiwano świtu, ażeby z większą łatwością móc zorganizować oddział i użyć go jako siły zorganizowanej do skończenia zaczętego dzieła.

Lecz nad ranem z Siedlec i niedalekiej Białki nadbiegła odsiecz w postaci trzech kompanij piechoty i sotni kozaków. Niezorganizowane wojsko polskie okazało się niezdatnym do dłuższego oporu. Oddział zaczął się rozpręgać, cofać grupami do pobliskiego lasu, wreszcie o samym świcie bój ustał. Polacy, nieścigani przez Rosjan, lecz zdeorganizowani długim bojem, prawie w zupełnej rozsypce rozeszli się w różne strony. Sam zaś Lewandowski z niewielką garstką ludzi uszedł, by szukać innych podwładnych mu oddziałów.

Dziedzic z Horostyty — pan Deskur — miał prowadzić atak na Radzyń. Rozstaliśmy się z nim w chwili, gdy zrozpaczony musiał porzucić sklecone z takim mozołem atomy podwładnej mu siły zbrojnej. Zgodnie z planem, ułożonym jeszcze w spokojnej Horostycie, miał on stanąć pod lasem o dwa kilometry od Radzyna wieczorem 22 stycznia, by tam oczekiwać na przymarsz zebranych ludzi. Po drodze, dla pewności, bo był sam jeden, jak palec, zabrał z sobą Jerzmanowskiego, człowieka starszego, kiedyś, w 1848 r., za spiski zesłanego na Syberię. Jerzmanowski od stóp do głowy zbroił się na wyprawę. Wreszcie pan major stanął u celu — na skrzyżowaniu kilku dróg, którymi nadciągnąć mogli jego ludzie. Mrok zapadał, mokry śnieg zaczął sypać. Jerzmanowski został na skrzyżowaniu dróg. Deskur zaś sam udał się na skraj lasu, skąd mógł zdala obserwować Radzyń i spotkać spiskowych mieszczan radzyńskich.

Chwila za chwilą mijały w przykrym oczekiwaniu. Niepewność gryzła pana majora: — Czy też uda się misterny plan

skoncentrowania wszystkich atomów — ludzi i broni — pomimo wszelkich przeszkód w jednym punkcie? A tu nagle nowe nieszczęście! Zdaleka zbliżał się turkot szybko jadącego wozu, rozlegały się dźwięki trąbki, po chwili padły dwa strzały, a koło zdumionego majora w pełnym cwale przemknął wóz z dwoma żołnierzami rosyjskimi. Na skrzyżowaniu dróg Deskur Jerzmanowskiego nie zastał.

— Wszystko stracone! — oto pierwsza myśl, która przemknęła przez głowę nieszczęśliwego majora. Kłopoty organizacyjne, niepewność oczekiwania samotnego, mokry śnieg, wreszcie alarm niespodziewany, wszystko to razem z równowagi duchowej wyprowadziło Deskura. Włosy mu dębem stanęły na głowie, a język kolkiem w ustach — jak to sam znacznie później opisze w swym pamiętniku. Miał jednak tyle odwagi i hartu, by straconego, jak mu się zdawało, posterunku przecież nie opuścić.

— Nie wydawać przynajmniej na łup nieuprzedzonych powstańców! — myślał; i znowu naczelnik siły zbrojnej parę godzin spędził pod krzakiem w oczekiwaniu swych ludzi.

Był szczęśliwszym od innych, na przykład, od Oxińskiego w Kaliskiem, który tej samej nocy w takiej samej samotności doczekał się w ciągu nocy jednego — wyraźnie jednego tylko — ochotnika. Pan Deskur już o jedenastej wieczór doczekał się swego przyjaciela Jasińskiego, który z Horostyty przyprowadził na punkt zborny stukilkudziesięciu ludzi i trochę broni: 40 dubeltówek i 100 kos. Broni, nawet tej lichej, było tak mało, że mając na uwadze konieczny udział mieszczan radzyńskich w boju, nowych przybywających ochotników pan major odprawiał z kwitkiem, jako zbyt ciężki balast dla swego oddziału.

O dwunastej nareszcie zjawili się dawno oczekiwani mieszczanie z Pyrkoszem i Prądyńskim na czele, z gołymi rękoma, nawet bez siekier. Niektórzy otrzymali kosy, reszta poszła z drągami. Nowiny z miasta były uspakajające. Oficerowie, w dwóch miejscach zebrani, grali w karty i hulali, żołnierze spali snem sprawiedliwych. Co prawda, wobec braku broni w oddziale panowało przygnębienie, lecz pan major opanował ludzi i wydał rozkazy.

— Przede wszystkim wziąć w swoje ręce naczelników! — brzmiało polecenie.

Pyrkosz miał prowadzić mieszczan na jedno z mieszkań, gdzie byli zebrani oficerowie. Otoczyć ich, ubezwładnić i postąpić z nimi, jak nakażą oficerowie spiskowi, — oto było jego zadanie. Drugiej części oddziału Michałowski miał użyć

dla ujęcia głównego komendanta wroga — generała Kannabicha, który u Chwoszczyńskiego, oficera żandarmów, grał w karty. Wreszcie na główną wartę i koszary artylerii sam pan Deskur prowadził resztę oddziału: 14 strzelców i 40 kosynierów. Rozpoczął Pyrkosz, który dla dania sygnału innym zapalił słomę, złożoną dla artylerii w rynku.

W rozkazach nie było tej ścisłości i pewności siebie, jaka była pożądana. Pyrkosz czynności swe miał uzależnić od nieobecnych w tej chwili oficerów spiskowych, którzy mogli się zachwiać w postanowieniach. Zapalenie zaś słomy, jako sygnału, świadczyło, że ludzie, nie wyłączając samego dowódcy, majora Deskura, żądali jeszcze jakiegoś zewnętrznego znaku na dowód, że wojna w istocie się zaczyna. W głębi bowiem duszy jeszcze nurtowały wątpliwości, czy w ogóle to jest możliwem, czy przypadkiem którykolwiek z zebranych nie cofnie się w ostatniej chwili. Bo poza tym uzewnętrznieniem niejako rozkazu rozpoczęcia robienie alarmu w mieście, na które niespodzianie się napada, oświetlenie placu boju, gdy się chce własną ukryć niemoc — najmniej było wskazanym.

Bądź co bądź jednak ułożono plan cały i wyprawa ruszyła na miasteczko, migocące w mglistej dali paru świetlnymi punktami, oświetconymi oknami czuwających jeszcze, a nie spodziewających się nadchodzącej burzy mieszkańców. Pyrkosz, który dla dodania animuszu trochę sobie podchmielił, zapalił słomę w rynku, otoczył mieszkanie z oficerami i sam, wszedłszy do środka, zwrócił się do zebranych z długą i zawilą przemową. Jak pod Ciołkowem nieszczęsny pułkownik Kozlaninow, tak w Radzynie biedny łyk miejski szedł w burzę z gałązką oliwną pokoju, szukając u swych wrogów odczucia i zrozumienia. Podzielił też los swego rosyjskiego poprzednika. Major Borozdin — najstarszy oficer wśród zebranych — odrazu wyraził zgodę na propozycję apostoła pokoju, a uspiwszy jego czujność, wysłał ordynansa po żołnierzy. Po krótkiej chwili pozornego zbratania się wybuchnęła nagle ostra, bezwzględna walka. Sprowadzeni żołnierze wcale nie pokojowo wpadli na Polaków. Zakłóty bagnietami padł Pyrkosz wraz z większością swych podkomendnych.

Michałowski szybciej sobie poradził z Kannabichem. Ciężko ranny generał i steroryzowani oficerowie, przy nim obecni, zostali usunięci z pola walki.

Warta główna i straż przy armatach jednym gwałtownym uderzeniem Deskura została rozproszona. Część legła pod uderzeniami kos, reszta rozbiegła się w panicznym strachu. Działa i jaszczce bezbronne stanęły do dyspozycji zwycięzców.

Lecz jak ruszyć je z miejsca? — Koni! koni! Pół królestwa za konie! — mógłby był zawołać pan Deskur słowami Ryszarda Trzeciego ¹⁾).

Konie były tuż obok w stajni. Lecz żołnierze, widząc, co się święci, już zamknęli drzwi i z różnych otworów rozpoczęli bezładny, lecz huczny ogień na powstańców, oświetlonych blaskiem płonących w rynku stert słomy.

Jeszcze chwila oporu i rozpaczliwego wysiłku, by zwycięstwo, które już się Polakom uśmiechało, przechylić na swoją stronę. Lecz już z innej strony szła odsiecz obłączonym Rosjanom. Część piechoty po załatwieniu się z Pyrkoszem i jego ludźmi, oswobodziwszy oficerów, ruszyła na jedyną teraz siłę polską, walczącą koło stajni artyleryjskich. Zabici i ranni padali gęsto. Wreszcie siła moralna wyczerpała się i wszystko rozprysło się w różne strony.

Deskur z wiernym przyjacielem Jasińskim, zrozpaczeni, pełni zwątpienia w siły powstania i możliwość powodzenia, sami zostali pod miasteczkiem. Na punkcie zbornym, wyznaczonym zawczasu w razie niepowodzenia, nie było nikogo. Biedny pan major postanowił szukać oparcia u swej bezpośredniej władzy — u pułkownika Lewandowskiego. Ruszył samotrzeć pod Siedlce.

Na Podlasiu, w środku olbrzymiego półkola, na którym w nocy 22 stycznia bój wydano, stanęło ze strony polskiej 1500 licho uzbrojonych, naprędce zebranych, organizowanych dopiero w ostatniej chwili bojowników. Przeciwno sobie powstanie podlaskie miało samej piechoty do 5000; 32 działa z odpowiednią obsługą gotowe były rozpocząć dzieło zniszczenia. Ku pomocy zaś swojej wojska te posiadały tysiąc kilkuset kawalerzystów, zdatnych do szybkiego pościgu czy osłony miejsc zagrożonych. W boju 22 stycznia nie wszyscy żołnierze rosyjscy udział wzięli. Zaledwie 3000 ludzi nocy tej odczuło na sobie oddech otwartej walki — i tak podwójna przemoc w samej liczbie w stosunku do Polaków, nie licząc już przewagi w broni, a przede wszystkim w tężyznie organizacji, opartej na silnej, bezwzględnej dyscyplinie.

A jednak, gdy na szarym, zimowym niebie rozbłysnął świt poranny, zwiastując krajowi pierwszy dzień długiej wojny, nie tylko Polacy, odparci od obiektów ataku, a nawet cofający się z miejsc, przez siebie zdobytych, jak w Kodniu, Łukowie i Łomazach — nie tylko Polacy znajdowali się w rozterce duchowej i niepewności jutra. Rosyjskie wojsko, nawet

¹⁾ Ryszard III (1452—1485), król angielski.

zwycięskie, nigdzie nie zdobyło się nawet na cień pościgu. Przerwane komunikacje pomiędzy drobnymi, rozsypanymi po kraju oddziałami rodziły chwiejność decyzji, bojaźń o los swój jutrzejszy, przenikającą wojsko rosyjskie od góry do dołu, od dowódców kompanij, szwadronów, batalionów do ostatniego żołnierza. Bezwiednie oglądano się dokoła, czy w jakim kącie nie czyha zdrada, bezwiednie, wobec własnej nieświadomości, szukano oparcia w przypuszczalnej wszechwiedzy władz centralnych.

*

*

*

Podlasie, stanowiąc centrum w boju 22-go stycznia, przez powstanie w Augustowskim na północy łączyło się ze skrzydłowym uderzeniem w Płockim, a na południu wiązało się przez Lubelskie z siłą sandomierską. Tam, na skrzydłach, według planu skupione być miały główne siły, tam dzielna szlachta zagonowa z pod Siedlec, Łukowa i Białej miała prawo spodziewać się rozstrzygających, silnych uderzeń, dla których jej drobne, bohaterskie podjazdy i szarpanie wroga miały być tylko pomocą demonstracyjną. W sąsiednich województwach, augustowskim i lubelskim, organizacja spiskowa albo była słaba (Augustowskie), albo też osłabiona aresztowaniami i zdeorganizowana brakiem technicznego kierownictwa.

To też w obu połaciach kraju, będących władzami centrum Podlasia ze skrzydłami, ruch nie przybrał większych rozmiarów. W Augustowskim Zameczek (Cichorski) zebrał kilkuset ludzi sprzysiężonych i z nimi wyruszył z Łap pod Suwałki, gdzie niespodzianym napadem rozproszył stojącą tam załogę — kompanię piechoty. Czyn, który odegrać żadnej poważnej roli nie mógł, zostawiał zaś bez naruszenia główną arterię ruchu — świeżo zbudowaną kolej z Warszawy do Petersburga. Już w tydzień potem tą drogą będą szły transporty gwardii, przesłanej do Warszawy. W samych zaś Łapach, skąd wychodził oddział, złożony właśnie ze służby kolejowej, znajdowało się duże «dépôt» ¹⁾ kolejowe i, co ważniejsze, duży most kolejowy przez Narew. Zresztą to przepomnienie wynikało prawdopodobnie z ogólnego naówczas nieoswojenia się z tym potężnym środkiem komunikacyjnym. Ludność bardziej ciążyła ku szosom, drogom bitym, ułatwiającym ruch wozowy, niż ku nieznannej jeszcze nowince z Zachodu — kolei żelaznej. Drugi napad, na Wysokie Mazowieckie, prowadzony następnej nocy, i leśny bój pod Mężeninem, wstrzymujący

¹⁾ Dépôt — skład, magazyn.

kolumnę rosyjską w jej przemarszu do Łomży, były dopełnieniem ruchu w Augustowskim, w pobliżu kolei petersburskiej.

W Lubelskim jedyny napad na Lubartów był bliźniaczo podobny do opisanego wyżej napadu Deskura na Radzyń. I tu pierwszym impetem nagłego napadu zdobyto 8 dział — całą baterię. I tu opór żołnierzy rosyjskich, z własnej inicjatywy biegnących z odsieczą, nie pozwolił skorzystać z pierwszego sukcesu. I tu wreszcie krótka bitwa rozprzegła w zupełności niespojone dłuższą organizacją szeregi polskie, tak, że wodzowie polscy, tak, jak Deskur, o świcie znaleźli się bez żołnierzy, sami, z rozpaczą i zniechęceniem w sercu. Gdzie indziej w tym województwie wobec braku sprężystej i jednolitej władzy wojskowej nie doszło nawet do boju. W różnych miejscach zebrały się mniejsze lub większe grupy, które nie ośmieliły się zajrzeć nieprzyjacielowi w oczy, a nawet niekiedy po prostu rozeszły się (pod Krasnystawem) zaraz po zbiórce.

* * *

W Płockim, na północnym skrzydle, powstanie miało według planu wydobyć możliwie wielkie siły, by odrazu zdobyć podstawę dla dalszej walki. Podstawa, co prawda, słaba wobec wielkiej bliskości nieatakowanej Warszawy i Modlina, niestrzymanych na wodzy żadną inną siłą. Lecz możliwość szybkiego ściągnięcia właśnie z Warszawy wielkiej ilości spiskowych przemawiała za tym, by tu najcięższy cios zadać. To też tu jedynie, czyniąc wyjątek w ogólnej taktyce, kuszono się o zdobycie jednej ze stolic administracyjnych i wojskowych ówczesnej Polski — Płocka, siedziby komendanta 6-ej dywizji piechoty wraz z jego sztabem i zarządem wojennym olbrzymiego kawału kraju, obejmującego dwa województwa — płockie i augustowskie.

Do Płocka, po jego zdobyciu przez powstanie miał się przenieść Rząd Narodowy, by jawnym, dla wszystkich widocznym ukazaniem się wesprzeć sprawę powstania. Tam też spieszył główny dowódca wojenny ruchu, Zygmunt Padlewski. Tym czasem jednak koncentrował siły powstania w tej okolicy i przygotowywał napad Bończa, inaczej Błaszczynski, były kapitan artylerii rosyjskiej.

Siły, zbierane do napadu na Płock, były względnie liczne, przynajmniej tak wyglądały przy rachunku na papierze:

— Pięć, sześć tysięcy! co najmniej tyle! — z pewną niechęcią myślał Błaszczynski przed napadem. — Czy nie za wiele? Trudno będzie opanować tak dużą gromadę świeżych żołnierzy! A zabraknie gdzie indziej! Kto zaatakuje Pułtusk,

Maków i inne załogi, gdy wszystko, co żyje, pociągnie pod Płock?

— A zresztą — myślał dalej — organizacja miejska z Płocka samego też coś warta i ostatnie jej doniesienia świadczą, że załoga się zmniejszyła. Prawie połowę jej wysłano na te głupie rekonesanse...

W istocie, z załogi płockiej wymaszerowały w różne strony drobne oddziały dla «łapania żywcem» dezertarów warszawskich i płockich. Rekonesanse wszystkie, z wyjątkiem nieszczęsnego Kozlaninowa, uderzyły w próżnię, osłabiwszy zato znacznie garnizon miasta.

General Mengden, który zastępował nieobecnego naczelnika dywizji, generała Lemcke, dnia tego miał pod swoją komendą zaledwie 400 piechoty i garstkę kozaków. Siły nie liczne, tym słabsze, że prawie połowę piechoty stanowili inwalidzi, żołnierze starsi, trochę zdemoralizowani na pół cywilną służbą, którą pełnili. Akurat dnia tego nadbiegła wiadomość o śmierci Kozlaninowa i rozbiciu przez Rogalińskiego jego oddziału pod Ciołkowem. Jakieś przygnębienie zawisło nad wojskiem. Lecz było to zarazem ostrzeżenie, — ostrzeżenie, dane w porę, gdy burza, której nikt się nie spodziewał, już wisiała nad głową.

Drugim ostrzeżeniem było zerwanie połączenia telegraficznego z Warszawą, a raz po raz do miasta dochodzić zaczęły głuche, trudne do skonstatowania dla tak słabej siły pogłoski o jakichś podejranych ruchach grup ludzkich w okolicy. Baron Mengden postanowił mieć się na ostrożności. Z energią, nieznaną gdzie indziej wśród dowódców rosyjskich, od razu zawiesił nad miastem stan oblężenia.

O piątej wieczorem ognie miały być zgaszone wszędzie, bramy domów i sklepy pozamykane, a na miasto poszły gęste patrole dla przeszukania ulic i zaułków, dla usunięcia najniebezpieczniejszego, bo wewnętrznego wroga.

Cios był wymierzony dobrze, uderzał w najsłabszą stronę planu polskiego. Błaszczyński bowiem nie komu innemu, jak właśnie owemu wrogowi wewnętrznemu — organizacji miejskiej w Płocku — oddał rozpoczęcie ataku, chcąc z siłą zewnętrzną, zebraną poza miastem, nadejść jakby z rezerwą, dla rozstrzygnięcia zwycięstwa. Błąd ciężki i w skutki brzemienny.

Więc nie wojsko, chociażby nie wiem jak liche, ale zawsze już wojsko, które przewyciężyło niesłychane przeszkody budownictwa wojskowego z luźnych, rozproszonych atomów — nie ta siła, zebrana już i znajdująca się w ręku wodza, miała wziąć na siebie najtrudniejsze zadanie. Bo zadanie trud-

nym było w istocie. Przewyciężyć trzeba było przede wszystkim naturalną nieufność do sił własnych i naturalną bojaźń przed siłą, widocznie dla każdego przeważającą pod względem technicznym i organizacyjnym. Wreszcie zdobyć się trzeba było na szaleństwo decyzji działania, podobnego do rzucania się z motyką na słońce, działania, wymagającego jednak pewnej organizacji sił własnych. A czyż ta organizacja nie była stokroć trudniejszą na terenie miejskim, będącym w zupełnym do ostatniej chwili posiadaniu nieprzyjaciela, niż na terenie poza miastem, gdzie już udało się skleić luźne atomy siły brojnej w jaką taką organizację?

Błąd to był ciężki, powiększony jeszcze przez nakaz bicia w dzwony, alarmowania nie tylko swoich, lecz i nieprzyjaciela, który najslabszym był właśnie wtedy, gdy niczego się nie spodziewał, silnym zaś się stawał, gdy był ostrzeżony i w zupełnym pogotowiu mógł wytoczyć całą swą przewagę techniczną.

Jednak organizacja miejska czyniła rozpaczliwe wysiłki, aby podołać zadaniu. Pomimo stanu oblężenia grupy i pojedynczy ludzie ściągali zaczęli na umówione miejsce. Broń, ukryta na sobie, staranność w zachowaniu pozorów — to była metoda zbierania siły zbrojnej. Lecz patroli Mengdena robiły swoje, wnosząc dezorganizację do operacji organizacyjnej, i bez nich nadzwyczaj zawilej i trudnej. Ludzie, śpieszący na zbiórkę, zamiast trafić na wyznaczone miejsce, trafiali często do aresztów, zbici i sponiewierani przez patrolujących żołnierzy. Wojsko wykryło nawet parę punktów zbórnych, gdzie od razu wyrwano z szeregów całe grupy, przygotowujące się do boju.

Pierwszy krok okazał się fałszywym. Alarmował coraz bardziej nieprzyjaciela, wprowadzając do własnych szeregów najgorszą dla świeżego wojska chorobę — dezorganizację i zamęt. Hasło napadu opóźniało się coraz bardziej, a gen. Mengden grupami wojska obsadzał najważniejsze punkty miasta, powoływał pod broń ludzi z poza frontu: rzemieślników, służbę oficerską, słowem, stawał w pogotowiu bojowym wszystko, co miał na swe rozporządzenie.

Poza miastem tym czasem na oznaczone punkty ściągala się rezerwa Błaszczyńskiego. Na odbytej poprzedniego dnia naradzie poszczególnych dowódców punkty te zostały wybrane dokoła miasta. Znowu dziwne nieporozumienie. Jeżeli rozpoznać miało już miasto, jako wróg wewnętrzny, to rezerwa, skupiona w jednym miejscu, byłaby najodpowiedniejszą. Byłby ułatwiony przegląd sił, ich celowe i odpowiednie zorga-

nizowanie dla walki, wreszcie, co najglówniejsze, użycie ich zgodne ze zmiennymi losami boju, rozpoczętego w mieście. Było to tym konieczniejsze, że trudno było liczyć na to, aby liczby powstańców, zestawione na papierze, odpowiadać mogły smutnej nieraz rzeczywistości armii ochotniczej, organizowanej dopiero tuż przed bojem.

W istocie też obliczenia zawiodły. Gdzie liczono na tysiące, stały się setki, gdzie chciano mieć setki, stały do dyspozycji dziesiątki zaledwie. Drobne te grupy ze zmniejszoną wiarą w swe siły już z powodu swej niewielkiej liczby w wahaniu i niepewności, czy nie należy jeszcze czekać na nadejście większej ilości ochotników, wyczekujące na chwilę działania w ulewnym deszczu, nie mając pomiędzy sobą komunikacji i łączności, stały się w swej męce oczekiwania coraz mniej zdadne do wyrównania szans boju w mieście.

Wreszcie w przepojonym wilgocią powietrzu jękliwie zabrzmiały dźwięki dzwonu. Było około godziny pierwszej w nocy. Pomimo strat, poniesionych przy zbiórce, część odważniejszych z organizacji miejskiej biegła na miasto, nawołując mieszkańców do broni i walki. Była to raczej demonstracja, mogąca nieco rozproszyć siły nieprzyjaciela, niż zamierzone zapoczątkowanie boju, wiążące wroga, zużywające jego siły tak, aby zmęczony i słaby stał się łatwym łupem nadchodzącej rezerwy. Ludność, steroryzowana wrażeniami ubiegłego wieczora, ze zwiększoną ostrożnością, a zatem nadzwyczaj powoli, zbierała się w oddziały, ulegając w części zupełnie rozproszeniu przez ściągające się na alarm patrole gen. Mengdena.

Lecz wreszcie naczelnikowi miasta, Zegrzdzie, udało się zebrać garść ludzi, z którą wpadł na plac przed główną wartę. Zabity wartownik zdążył jednak uprzedzić wartę, która pod wodzą komendanta placu, pułkownika Poźniaka, wyskoczyła z budynku i gęstym ogniem ostrzeliwała zbliżające się szeregi powstańców. Dla zaalarmowania całej załogi pułkownik Poźniak wypuścił parę rakiet, które, spadając, obsypały skrami nadciągającą rezerwę.

Krótkim był bój w tym miejscu. Jak zwykle tej nocy, świeży żołnierz, nie mający wewnętrznej spistości organizacyjnej, był dobrym tylko wówczas, gdy pierwszy krok jego na wojence uwieńczony był powodzeniem. Przełamanie uporczywego oporu, gdy trzeba było dla zwycięstwa manewru i dłuższego wytrwania w ogniu, było zbyt trudnym i pod względem moralnym, i organizacyjnym. Wojsko rozprzegęło się na oczach grupy i poszczególni ludzie bez rozkazu, na własną

rękę, cofali się najprzód za najbliższe osłony, by potem ratować się bezładną ucieczką.

Tak stało się i w Płocku. Ludzie, cofający się z placu przed odwachem, zmieszali szeregi zbliżającej się rezerwy, by z nią razem w bezładnej kupie wycofać się z miasta. Rozpaczliwe wysiłki Bończy, który z beczelną odwagą uwijał się na białym koniu po mieście, pozwoliły na podjęcie bitwy raz jeszcze. W oczekiwaniu oddziałów od zewnątrz, które jeszcze nie wszystkie nadeszły, Bończa zorganizował atak na koszary, już nie z wewnątrz miasta, lecz od pola.

Znowu zagrzmiały wystrzały. Rosjanie z okien i dachów sypnęli ołowiem na Polaków, jak zwykle zresztą przy nocnych atakach, niewielkie wyrządzając szkody. Ze strony polskiej rzadziej, lecz prawie równie bezskutecznie padały strzały z odległości zbyt wielkiej na strzelby myśliwskie. Wkrótce stało się widocznym, że bez zewnętrznej pomocy i wiania przez to nowej energii w szeregi polskie, atak nie posunie się naprzód, że przeciwnie nawet, znowu nastąpi kryzys bojowy w duszy żołnierza, niezdolnego do dłuższej walki. A rezerwa nie nadchodziła!

Część jej, jakeśmy już widzieli, wspólnie z awangardą miejską uległa demoralizacji i, z trudem utrzymana na placu, już potrzebowała nowego moralnego oparcia. Reszta tym czasem w ciemnej błędziła nocy po polach, topniejąc zwolna przez samowolną dezercję. W jednym z tych oddziałów zostało zaledwie czterech ludzi. Oddział z za Wisły zastał most rozebrany i bezsilnie przysłuchiwał się odgłosom boju, przychodzącym doń z za rzeki. Wreszcie oddział Kowalewskiego, który już był wkraczał na pole bitwy, obsypany skrami z rakiet, wyrzucanych przez pułkownika Poźniaka, cofnął się w bezładzie pod wpływem tej niewinnej broni, sądząc, że ma do czynienia z odłamkami pocisków armatnich. Rezerwa w ten sposób zawiodła.

Jeszcze przed ranem, pod przykryciem ciemnej, dżdżystej nocy, świeży żołnierz polski, zmęczony wrażeniami przeżytej walki, rozsypał się w różne strony. Dowódca Błaszczynski, mając wszystko za stracone, gdy każde jego obliczenie zawodziło, umknął, by przechować się w jakiejś kryjówce na czas dłuższy.

Plac boju, Płock, został przy zwycięzcach. Przez parę godzin chwiała się ich panowanie w mieście, przez parę godzin każdemu, nawet najniższemu w randze żołnierzowi, zdawało się, że zwycięstwo musi się przechylić na stronę napastników. Noc, rozrzucony po różnych kątach miasta bój, którego wy-

nik do końca nie był pewnym, wreszcie widoczny dla wszystkich udział spokojnych dotychczas mieszkańców — wszystko to razem zupełnie z równowagi wyprowadziło załogę. Nieszczęsne miasto przeżyć musiało jeszcze najbliższe gwałty i rabunki rozbastwionego niepewnym bojem żołdactwa. A chwila ta była najlepszą może do ataku rezerwy polskiej, gdyby taka gdziekolwiek istniała.

W tym miejscu, jedynym bodaj w Polsce, była ze strony Polaków przewaga liczebna tej nocy. Ogółem w różnych oddziałach, które poszczególnie w różnym czasie brały udział w boju, naliczyłyby się dało do ośmiuset ludzi, prawie podwójna przemoc wobec słabych sił rosyjskich.

Wobec rozmiarów bitwy plockiej znacznie mniejsze starcie w Płońsku nie miało, naturalnie, tego znaczenia, co tamta walka; gromady ludzi, zebranych tutaj dla napadu, nie miały nawet jednolitego kierownictwa, a składały się z kilku grup pod osobnym dowództwem, grup jak gdyby skonfederowanych, a nie zlanych w jeden organizm wojenny. Jak gdyby niejasny jeszcze i niewyraźny początek późniejszej walki tej wojny — braku wspólnej organizacji i hierarchii wśród wojska — brak ten doprowadzi z czasem do tego, że każda prawie wspólna operacja kilku, a choćby dwóch tylko oddziałów stanie się niemożliwą. Tym razem jednak trzystu kilkudziesięciu ludzi, zebranych pod Płońskiem, dosyć zgodnie ruszyło do ataku na miasto.

I tu znowu, jak w Plocku, sygnał rozpoczęcia był zarazem alarmem dla Rosjan. Jeśli dźwięk dzwonów mógł być podniecią dla Polaków, to zarazem dźwięczał pobudką alarmową dla załogi. Tym bardziej, że już dnia poprzedniego kapitan Artamonow, dowódca kompanii płońskiej, miał wiadomości o ściągających się i wałęsających dokoła miasteczka grupach ludzi, a klęska, którą poniósł Kozłaninow pod Ciołkowem, nie była w Płońsku nieznaną. Więc, jak wszędzie, gdzie Rosjanie nie dali się zaskoczyć nagłym napadem, przeciw żołnierzowi, sformowanemu od wczoraj, a niekiedy od godziny, stanęła organizacja karna, zdolna do przenoszenia dużych strat. A z chwilą, gdy pierwszy impet nic nie zdziałał i bój się przeciągał, musiały prędzej czy później nastąpić kryzysy psychiczne, którym ulegał silniej żołnierz polski.

W boju płońskim, względnie długotrwałym, kompania rosyjska straciła dziesiątą część ludzi i trwała w oporze. Polacy ponieśli straty znacznie mniejsze, z ukrycia strzelając do zbitych w zwartą kolumną Rosjan. Zaledwie pięćdziesiąta część ubyła z szeregow, a już się wyczerpały siły moralne. Na-

stąpił odwrót. Kapitan Artamonow ruszył pomimo strat z pościgiem, a przeszedłszy z obrony do ataku, rozproszył zebrane grupy, zabierając kilka dziesiątków ludzi do niewoli.

Województwo płockie wysiliło się na główny napad na swoją stolicę i dla innych już miejsc zabrakło sił i energii. Cały ruch tej nocy ograniczył się do powyższych dwóch napadów. Zbierano się gdzie indziej, jak pod Makowem, Przasnyszem i Lipnem. Lecz wewnętrznego rozpadu nie starczyło dla stoczenia bitwy, chociażby nieudanej.

Padlewski — wódz powstania — noc tę spędził, śpiesząc pod Płock, po spotkaniu zwycięskiej, lecz zdeorganizowanej samym bojem grupy Rogalińskiego, tryumfatora spod Ciołkowa. Jak gdyby za karę za cofnięcie się przed odpowiedzialnością, za uchylenie się od najpoważniejszego stanowiska naczelnego wodza w Warszawie, nie sądzonym mu było, żeby energią własną, którą w boju w wysokim stopniu posiadał, naprawić sprawę pod Płockiem. Końmi i pieszo — jak się udało — pędził on na zagrożone miejsce, lecz po drodze wpadł w ręce patrolu kozackiego. Tylko spotkaniu z partią powstańczą, opóźnioną w pochodzie pod Płock, zawdzięczał na ten raz ocalenie.

*
* *

Skrzydło północne — Płockie — w głównym ataku zawiódło. Cel najważniejszy — zdobycie Płocka — nie został osiągnięty, a Rząd Narodowy pozostał bez stolicy i możliwości ujawnienia się pod osłoną posłusznej mu siły zbrojnej. Na skrzydle południowym — w Sandomierskim — miały według planu również nastąpić poważniejsze wypadki, któreby po nocy styczniowej umożliwiły w górach Świętokrzyskich zebranie większej armii, przeznaczonej do operowania od południa przeciw Warszawie. Dowodził tu Marian Langiewicz, wsławiony swą późniejszą dziesięciodniową dyktaturą. Jak Lewandowski na Podlasiu, tak Langiewicz w Sandomierskim był zupełnie świeżym, nowym człowiekiem. Przybył tam zaledwie w początku stycznia i przez parę tygodni mógł tylko co najwyżej przelotnie poznać otoczenie, zwłaszcza, gdy zważymy ówczesne środki komunikacyjne i warunki konspiracji, ograniczające znacznie swobodę ruchów naczelnika.

Nic więc dziwnego, że tak samo, jak Lewandowski, z przerażeniem dowiedział się on o obowiązku stoczenia w nocy 22 stycznia boju z przeważnymi siłami rosyjskimi. Od chwili otrzymania rozkazu, 18-go wieczorem, — miał do roz-

porządzenia zaledwie dni cztery, a znajdował się wówczas w Kielcach, poza granicami swego województwa.

Najważniejszą zdobyczą dla powstania byłby niechybnie Radom. Jak Płock na północy, tak Radom na południu był stolicą administracyjną i wojskową dla całych dwóch województw: sandomierskiego i krakowskiego. Lecz nawet pomimo tego, że ogromna większość spiskowych, którzy użyłby się dali do przedsięwziętych ataków 22 stycznia, składała się nie z kogo innego, jak z mieszkańców tegoż Radomia, mimo to Langiewicz nie chciał postawić tak ryzykownego kroku. Siły wroga w Radomiu wydawały mu się zbyt wielkie. Tysiąc dwieście żołnierza pieszego, ośm dział gwintowanych i setka kozaków stanowiły załogę Radomia i osłonę sztabu dywizyjnego gen. Uszakowa i sztabu pułkowego. Langiewicz więc zdecydował się na przeprowadzenie delikatnej operacji: translokacji tajnej swych ludzi na prowincję w celu napadu na drobne, niewielkie załogi w miasteczkach, rozrzuconych wśród leśnej, pagórkowatej okolicy. Radom miał zostać celem operacji późniejszej, prowadzonej przez skoncentrowane siły powstańcze po oczyszczeniu prowincji z wojska.

Ośrodkiem koncentracji po nocy 22 stycznia miał się stać Szydłowiec, na który napaść i który objąć w posiadanie miał sam naczelnik województwa — Langiewicz. Stamtąd dopiero, zdaniem Langiewicza, rozpocząć należało szersze operacje wojenne.

Ze wszystkich jednak planowanych napadów do skutku przyszły tylko trzy — na Jedlnię, Szydłowiec i Bodzentyn. Ostatni, choć leżał poza obrębem województwa Langiewicza i podpadał pod władzę jego sąsiada, Kurowskiego, wojewody w Krakowskim, dokonany został jednak przez siły sandomierskie.

Sił powstaniu dostarczył przede wszystkim Radom, a poza tym liczne drobne huty i kuźnice, rozsypane w okolicy Suchedniowa. Więc pod Jedlnię poszedł Figeti, prowadząc ze sobą 150 ludzi. Napaść miał na kompanię saperów, kwaterującą w tym miasteczku pod komendą kapitana Witkowskiego. Pomimo dużej przewagi liczebnej ze strony wroga — Rosjanie liczyli 280 ludzi — atak był może najudatniejszym ze wszystkich potyczek tej nocy. Przeprowadzono go z całą precyzją spiskową, wyzyskując w zupełności potężny czynnik niespodzianki. Żadnych alarmów, żadnych dzwonów ani ogni! Sojusznikiem — ciemna, bezgwiezdna noc i przerażenie nagle ze snu zbudzonych nieprzyjaciół. Nie było tam nawet bitwy, bo czynności powstańcze, ułatwione rozsypaniem żołnie-

rzy niewielkimi grupami po chatach, polegały na szybkim rozbrojeniu wroga. Oporni łatwo szli nieledwie pod nóż zwycięzcy. I gdy po paru godzinach zaalarmowane sąsiednie załogi przybiegły z pomocą, z kompanii saperskiej zostały zaledwie szczątki, sześćdziesięciu kilku ludzi, na pół bez broni, którą zostawili w rękach zwycięzców.

Pod Szydłowcem Langiewicz zdołał zebrać do trzystu ludzi. Tu znowu odrzucono pomoc najwierniejszego sojusznika słabych — tajemnicę. W sąsiednim Jastrzębiu, punkcie zbornym oddziału, odprawiono uroczyste modły. Na widoku otoczenia przeprowadzano organizację. W zewnętrznej ostentacji szukano jak gdyby wzmocnienia i lekarstwa na wewnętrzne poczucie słabości. Pomimo czat, rozstawionych dokoła, zdrada znalazła sposób, by zawiadomić i ostrzec nieprzyjaciela. Jego przewaga techniczna i organizacyjna z konieczności wychodziła na jaw, więc napad zmienić się musiał w bój uporczywy, gdzie wszystkie szanse po swej stronie miał dobrze uzbrojony i karny żołnierz.

Tym razem jednak dowódcy rosyjscy, kapitanowie Ridigier i Olędzki, nie zdążyli w zupełności poczynić zarządzeń ostrożności. Tuż za wiadomościami z Jastrzębia szedł atak, prowadzony w dwóch miejscach: w miasteczku na kompanię Ridigiera, za miastem na kompanię Władysława Olędzkiego. Na Ridigiera szedł Jasiński z setką ludzi, na Olędzkiego sam Langiewicz z dwoma setkami. Znowu przewaga liczby była po stronie nieprzyjaciela.

Rosjanie, nieco wcześniej ostrzeżeni, pomimo nagłego napadu zdążyli, choć ze stratami, sformować szyk bojowy w kolumnach. Polacy, ukryci za domami lub w rowach, gęstym ogniem wyrwali ludzi z szeregów, sami małe ponosząc straty. Ridigier, walcząc w ciasnym rynku z niewidocznym wrogiem, nakazał odwrót. Olędzki z mniejszymi stratami ruszył na połączenie się z kolegą. Miasteczko, przyszły punkt koncentracji powstańczej, zostało w rękach Polaków.

Lecz bój nocny ze swymi silnymi wrażeniami nie pozostał bez wpływu na świeżego żołnierza. Oddziały polskie, choć zwycięskie, zaczęły się rozprzegać. Ludzie rozchodzili się po domach i chałupach. Beładnie przeszukiwano niektóre z domów, gdzie jakoby jeszcze ukryci być mieli żołnierze rosyjscy. Wodzowie polscy zaczęli tracić panowanie nad oddziałem. Więc gdy Ridigier, złączywszy się z Olędzkim, ochłonął nieco z przerażenia i ruszył do kontrataku, zastał w Szydłowcu beładne kupy, które oporu stawiać nie mogły. Nastąpił bój krótki i Szydłowiec, opuszczony przez niedawnych zwycięz-

ców, przeszedł znowu w posiadanie swych dotychczasowych panów.

Straty stron obu były względnie znaczne. Dwie kompanie rosyjskie straciły do 30 ludzi, Polacy dwa razy tyle i jednego ze swych wodzów, Jasińskiego.

Wreszcie w Bodzentynie napad polski doprowadził do najkrwawszego w tej nocy starcia. Atak był całkiem niespodziewany, więc wszystko przemawiało za tym, że Polacy staną się panami placu boju. Żołnierze zostali od razu odcięci od swych oficerów i pozostawieni bez głowy. Bój toczył się w izbach, gdzie śpiących żołnierzy zastano. To też straty, które poniosła kompania bodzentyńska, przenosiły piątą część jej składu. Lecz żołnierze bronili się dzielnie i uparcie. Siłą fizyczną, kułakami i gołą pięścią wyrzucili napastników z izb, aby potem z własnej inicjatywy iść z pomocą zagrożonym oficerom i magazynowi. Po dłuższej strzelaninie wyparto atakujących z miasteczka. Polacy, którzy pod wodzą Dawidowicza i księdza Umińskiego zebrali się w ilości 300 ludzi, straciwszy w boju dziesiątą część sił swoich, zaniechali dobrze rozpoczętej walki.

W innych stronach województwa, jak w całej reszcie kraju, napady nie doszły do skutku ze zwykłych w nocy tej powodów. Gdy w jednym miejscu nie zebrali się ochotnicy, na których czekał dowódca, w innych wódz wyznaczony nie stawiał się w oznaczonym punkcie i czasie, co oddział zebrany doprowadzało do bezczynności i najczęściej do rozejścia się po okolicy. Gdzie niegdzie fałszywe pogłoski, rozpuszczane przez przeciwników powstania, o odłożeniu terminu wybuchu wystarczyły, by zaniechano wszelkich zamiarów wojennych.

* * *

W boju nocnym 22 stycznia ze strony polskiej wzięło udział razem 4500 żołnierzy przeciwko prawie 6 tysiącom żołnierza rosyjskiego. Prawie wszędzie bój wypadł na korzyść Rosjan. Napastnicy nawet tam, gdzie chwilowo byli panami placu boju i zwycięzcami, już o świcie opuścić musieli zajęte stanowiska, by cofnąć się do miejsc mniej dostępnych, a bardziej ukrytych, niż miasta i miasteczka.

Straty obustronne nie były znaczne. Do dwóch setek ludzi zabitych i rannych z każdej strony zaległo place boju, stanowiąc zaledwie dwudziestą u Polaków, a trzydziestą tylko część walczących u Rosjan. Straty, przypominające raczej jakies drobne potyczki forpocztowe, niż stanowcze, rozstrzygające

o zwycięstwie boje, gdzie złamanie woli przewnika kosztuje nieraz około połowy całego wojska, najczęściej nie mniej, niż czwartą, najmniej już zaś piątą część armii.

Obok tego nietkniętych bojem zostało po jednej i po drugiej stronie całe mnóstwo żołnierzy. Stotysięczna armia rosyjska zaledwie w swej siedmnej części stanęła pod bronią tej nocy. Reszta spokojnie ją przespała, nie wiedząc nawet, że wojna już wybuchła i że część towarzyszków broni staczać musi nieraz rozpaczliwe boje o honor swego oręza.

Po polskiej stronie, nie mówiąc już o teoretycznej rezerwie, którą, jak w każdej wojnie rewolucyjnej, miał być cały naród czy lud polski, nie stanął do boju nawet cały spiszek, liczący w owe czasy nie mniej, niż 20 tysięcy ludzi. Zaledwie piąta część jego przyszła do bitwy. Reszta albo nie zebrała się wcale, albo też nawet po zebraniu się nie znalazła w sobie dosyć woli i hartu ducha, by w danych ciężkich warunkach przełamać się i z wczorajszego uległego poddanego wyrość na żołnierza, stojącego do otwartej walki przeciw wczorajszej władzy.

Bitwa więc dla Polaków była przegrana. Nawet chwilowe powodzenia nie mogły być utrwalone. Sam plan boju był przeprowadzony niędość stanowczo; powstają poważne wątpliwości, czy w istocie ktokolwiek weń wierzył. Na skrzydłach boju — północnym i południowym — gdzie w zasadzie miano poważnym zwycięstwem umożliwić wytworzenie się większej armii, bój był o wiele słabszym i niedoleźniejszym, niż w demonstracyjnej jego części, w centrum, na Podlasiu. Na północy jeszcze kuszone się o coś większego; stawiano sobie za cel Płock, siedlisko głównej władzy wojskowej i cywilnej na całej północy Królestwa, próbowano, choć nieudolnie, jednym uderzeniem szanse wojny przechylić na swoją korzyść. Lecz na południu bez uwagi pozostawiono Radom, który był tym dla południa, czym Płock dla północy, i gdzieś w zapadłych kątach, wśród lasów i gór, szukano celów dla boju, celów, nie mogących w żadnym wypadku wpłynąć poważnie i rozstrzygająco na dalszy przebieg wojny.

Najbardziej powiodła się właśnie demonstracja podlaska, ześrodkowująca swe wysiłki naokoło głównej arterii ruchu — szosy brzeskiej. Tu w istocie zaabsorbowano połowę wszystkich sił przeciwnika w tej części kraju; tu zmuszono go do zacieklego, nieraz rozpaczego boju, tu najpoważniejsze zadano mu straty, tu wreszcie wniesiono największy zamęt do władzy i panowania nieprzyjaciela w kraju.

Właściwie mówiąc, skrzydłowe boje na północy i połud-

niu olbrzymiego placu boju były jak gdyby tylko echem, słabym dalszym ciągiem walki, toczonej najczęściej w centrum, na Podlasiu. Cały więc bój wypadł jako demonstracja, silniejsza w centrum, słabsza na skrzydłach, krwią i wrzawą bitwy nadającą wartość istotną wypowiedzeniu wojny, zawartemu w wydanym tej nocy manifestie nowopowstałego Rządu Narodowego Polski.

Demonstracja! — Więc chęć wywarcia wpływu na wolę i wyobraźnię przeciwnika?

Demonstracja! — Więc myśl o wywołaniu zmian w użyciu sił nieprzyjacielskich, zmian korzystnych dla siebie, niewzględnych dla niego?

Niechybnie, myśl ta, zdaje się, przez głowę nie przeszła wodzom powstania polskiego. Nie tego szukali oni w pierwszym wstępnym boju rewolucji polskiej; widzieli w nim rozpaczny środek obrony honoru, albo, w lepszym razie, choć luddząc się gorzej, szybkie, decydujące kroki ku zbudowaniu olbrzymiej, nieledwie milionowej armii ludowej. A jednak bój ich był tylko demonstracją i, co najdziwniejsza, demonstracją udaną, która najwidoczniej przegraną taktycznie bitwę zmieniała w duże strategiczne zwycięstwo.

Nazajutrz, wraz z mrocznym, chmurnym i dżdżystym świtem, do centrum kraju, siedliska mózgu rządowego, bieгли z różnych stron kurierzy i posłańcy. Druty telegraficzne, zerwane wszędzie, zawiodły. Trzeba było wracać do pierwotnych, powolnych środków komunikacji, którymi posługiwali się ojcowie i dziadowie jeszcze w bojach napoleońskich, — do konnych sztafet. W Warszawie wiedziano już o wybuchu wojny — manifest Rządu Narodowego był już znanym, teraz w oczy były dowody, dowody krwawe, że Rząd ten siłę nie tylko moralną, lecz i materialną miał na swe usługi.

Siłę moralną — tę znano. Od kilku lat wprowadziła ona do kraju, do rządu samego tyle zmian widocznych, że nie doceniać jej nie było można. Przecie dla zaspokojenia jej wiecznie wzrastającego głodu zmian i reform zarzucono stary, wypróbowany system rządzenia, odnowiono całą administrację, powołując do niej siły miejscowe, paktowano nieraz z tymi, dla których niedawno jeszcze miano tylko więzienie i kłódkę na gębę. Ba, jako ustępstwo dla niej ściągnięto do kraju brata cesarskiego, dając mu za doradcę jednego z tych, których dotąd trzymano z dala od rządów.

Siła moralna ruchu — ta wprowadziła już tyle chwiejności i wahań, tyle zatem elementu słabości we własne siły rządowe, że nieraz wydawać się musiała znacznie większą,

znacznie potężniejszą, niż była w istocie. Teraz szły odpowiedniki materialne.

Orientacja w tych wieściach była trudna. Obok dokumentowych danych dolatywały wiadomości postronne, jak zwykle — przesadne co do rozmiarów, sprzeczne, wreszcie wręcz fałszywe, lecz wszystkie trudne do sprawdzenia, wobec przerwania komunikacji zwykłej, szybkiej, do której też dostosowaną była i konieczność szybkiej decyzji centrum w każdym wypadku. Tam i tam wojska zwycięsko napad odparły, słyszano o zajęciach w danym miejscu, stamtąd jednak żadna wiadomość nie nadeszła. Czy nie dlatego, że nie mogła być pomyslną? Rodziła się wątpliwość w duszy, tym bardziej, że skąd inąd przyszedł raport o wielkich względnie stratach w boju. Czekać, nim zewsząd zbiegną się dane, które wytworzą całość obrazu — niesposób! Tam w tych zarzuconych kompaniach i szwadronach, posłanych na pół wojenną, pół dyplomatyczno-policyjną służbę do wrogiego otoczenia, czekano rozkazu, czekano znaku, czy ma być wojna, czy też napaść ma być puszczona mimo uszu i panowie kapitanowie i porucznicy mają nadal być łagodno-surowymi przedstawicielami, czy nawet zastępcami władzy cywilnej.

Wojna! Lecz do wojny nieco dłuższej większość armii nie była zdatną. Po jednej, dwóch nie bitwach już, lecz potyczkach, zabraknie kompaniom naboju, złożonych nieraz daleko po magazynach, które po znowu za małą mają osłonę dla długiej i teraz z konieczności nadzwyczaj baczej służby ochronnej. A i same te osobno stojące kompanie i szwadrony, czyż nie wyczerpią się w długim, kosztownym u małych oddziałów co do wysiłków i ludzi strzeżeniu się od nagłych, niespodziewanych napadów otaczającego wroga? Wojna w tym szyku luźnym, z polityki przyjętym przez całą prawie armię, prowadzić się nie da. Trzeba go ścieśnić, zgęścić w ważniejszych punktach, dając zarazem siłę i oparcie lotnym, ruchomym kolumnom, wyznaczonym do bezpośredniego boju.

Pokój! Dalsza służba w dyplomacji i policji! Lecz czyż nie jest to zmarnowanie dwóch trzecich armii? Po pierwsze, dla nikogo nie było tajnym, że wśród wojska, osobliwie wśród oficerów, szerzy się zaraza rewolucyjna, szerzy się zaś tym łatwiej, gdy i sam rząd jest chwiejny, a dzięki rozsypaniu armii całej nie ma dostatecznej kontroli władzy wyższej, gdy każdy niejako pozostawiony jest sam sobie. Pod tym względem zaciśnięcie więzów dyscypliny wewnętrznej przez skupienie wojska byłoby bardzo pożądane. Po drugie zaś, te napady, o których przybiegły raporty... Wydaje się, że wojska, chociaż

ucierpiał, jednak poza paru miejscami wyszły zwycięsko z tej próby. Przypuściwszy nawet, że do jutra nie będzie więcej hio-bowych wieści, co przecież nie jest także wykluczonym, któż zaręczy, że pozostawienie armii w tym stanie, jaki zastała noc 22 stycznia, nie ośmieli jeszcze bardziej ukrytego wroga? Napady mogą się stać natarczywsze, umiejętniej prowadzone, a ogromna część tych rozrzuconych kompanij i szwadronów stać się może łatwym łupem dla przeciwnika.

A zatem czy pokój ma być, czy wojna, — o tym już rozstrzygnie władza wyższa, — należy jednak przede wszystkim wyprowadzić armię z niewygodnego dla niej położenia i zabezpieczyć ją lepiej czy to na wypadek wojny, czy na wypadek pokoju.

I oto tegoż dnia jeszcze ze sztabu głównego sztafety konne do komendantów dywizyj rozniosły rozkaz przerwania branki na prowincji, wymagającej wysyłania drobnych oddziałów policyjnych; rozkaz koncentracji wojsk w większe grupy ze wszystkich rodzajów broni; było to racjonalne wyjście z położenia.

— Ściągać wojsko w oddziały nie mniejsze, jak dwa, trzy bataliony z odpowiednią ilością jazdy! — brzmiał rozkaz okólny 23 stycznia. W kilka dni później rozkaz nie tylko potwierdzono, lecz dodano, że nie należy się wahać w ogołoceciu z wojska całych powiatów, byle zabezpieczyć armii zupełną swobodę działania, bez przeciążania jej zbytnimi ciężarami służby ochronnej.

Armia rosyjska w istocie odzyskiwała swobodę działań, lecz jakim kosztem? Ogromne połacie kraju, będące dotąd pod stałą i bezustanną kontrolą władzy państwowej, stawały się bezpańskimi. Ludność, zamieszkująca te części Polski, w ten sposób na równi z armią rosyjską odzyskiwała swobodę działania i rozstrzygnięcia dla siebie kwestii swego udziału w wojnie. Samo zaś powstanie — spisek, przetrworzony w wojsko — zyskiwał jeszcze więcej. W ogromnej części kraju nie potrzebowal już, jak przed wybuchem, przystosowywać się do zmiennych i wypadkowych warunków życia pod kontrolą nieprzyjaciela, lecz, jak każde wojsko, mógł naginać nawet siłą otoczenie do swoich wymagań i potrzeb. I jeżeli przed 21 stycznia powstanie przystępowało do wojny bez podstawy, bez bazy wojennej dla swych operacyj, teraz mogło ją wytworzyć i należyście wyzyskać wojennie części kraju, opuszczone przez nieprzyjaciela.

Niechybnie wymagało to szybkiego działania, gdyż żmudna i długotrwała z natury rzeczy praca organizatorska była

w tym wypadku główną częścią operacji, istotą nawet zadania wojennego, które stanęło teraz przed powstaniem. Ale i pod tym względem Polacy wygrali sporo. Nakazana koncentracja wymagałaby czasu pewnego nawet w porze zupełnego spokoju. Teraz, gdy przy przerwaniu telegrafu posługiwano się konnymi posłańcami, już sam sposób komunikacji przedłużał czas wolny od działań wojennych. Ale w dodatku sami posłańcy nie byli pewni. Raz po raz sztafeta nie dochodziła do miejsca przeznaczenia, raz po raz rozkaz czy raport trafiał w ręce powstańców. Noc w tych warunkach w kraju lesistym i mało zaludnionym odpadała zupełnie dla służby łączności. I oto czas, rzecz bardzo droga w każdej wojnie, najdroższa jednak w tym wypadku dla powstania — czas, tak dla strony polskiej potrzebny, został przez nią wygrany. Zaledwie po dziesięciu, w niektórych miejscach czternastu, nawet dziewiętnastu dniach, skoncentrowane już oddziały armii rosyjskiej, wzięwszy inicjatywę w swe ręce, rozpoczęły zaczepną z powstaniem walkę.

Niestety, po stronie polskiej niedość jasno rozumiano swe położenie. Jedni śnili o bohaterskich bojach, prowadzonych dla obrony honoru wojennego powstania, bojach krwawych, wrażliwych się w serca ludzkie ogromem hekatomb, złożonej na ołtarzu ojczyzny. Inni marzyli o szybkich sukcesach organizacyjnych wśród ludu, masowo, tysiącami przyływającego do szeregów ochotniczych. Przygotowań do żmudnej, powolnej pracy dla zorganizowania podstawy wojennej nie czyniono w ogóle wcale. I oto na proste zorientowanie się w sytuacji stracono ogromną część tak ciężko wygranego czasu.

Gdy oddziały polskie, odparte od szturmowanych miasteczek, albo nawet na pół rozproszone po porażce, znalazły się w zacisznych ustroniach na odpoczynku chwilowym, panował wśród nich od góry do dołu powszechny zamęt i niepewność, co czynić dalej należy. Zewsząd więc słano gońców do wodzów z tym męczącym pytaniem.

Lecz gdzie było ich szukać? O Lewandowskim na Podlasiu nie wiedziano nic w przeciągu kilku dni. Błaszczyński (Bończa) w Płockim zniknął, Padlewski zaś nieprędko zdążył ująć w swe ręce ster sprawy. Langiewicz, wyparty z Szydłowca, wyznaczony przezeń jako punkt koncentracji po nocy 22 stycznia, musiał znowu szukać łączności ze swymi rozsypanymi oddziałami. Każdy był pozostawiony swemu losowi, swej myśli samotnej, najczęściej smutnej, nieledwie rozpacznej.

Pędziły więc gońce do Warszawy, do Rządu Centralnego. Lecz tam tym mniej znaleźć można było otuchy, rady i wskazówki. Starsi wyemigrowali pod Płock w oczekiwaniu tryumfalnego wejścia do czasowej stolicy Polski, odzyskanej po krwawym boju. Młodszy, nie mając wśród siebie fachowej siły, służyć mogli jedynie jaką taką pomocą materialną, o kierownictwo zaś sprawami wojny nawet nie kusili się wcale. A czas, drogi czas uchodził bezpowrotnie! Marnowano go nieproduktywnie, dając zarazem początek późniejszemu przekleństwu wojny: autonomii, a raczej zupełnej niezależności operacyjnej każdego z poszczególnych dowódców mniejszego czy większego oddziału. Bitwa, wydana przez powstanie w nocy 22 stycznia, dała rezultat, przez samych powstańców nieoczekiwany; okazała się bowiem niezwykle skuteczną demonstracją wojenną. Nie demonstracja taka była jednak celem stoczonych walki, tylko bój stanowczy i zwycięstwo. Rozbieżność zaś między celem zamierzonym a rezultatem, który osiągnięto, sprawiła właśnie, że przy braku jednej woli i myśli kierowniczej nie skorzystano z osiągniętych wyników w całej pełni i nie oparto na nich dalszej celowej walki o inicjatywę wojenną i przewagę strategiczną powstania.
